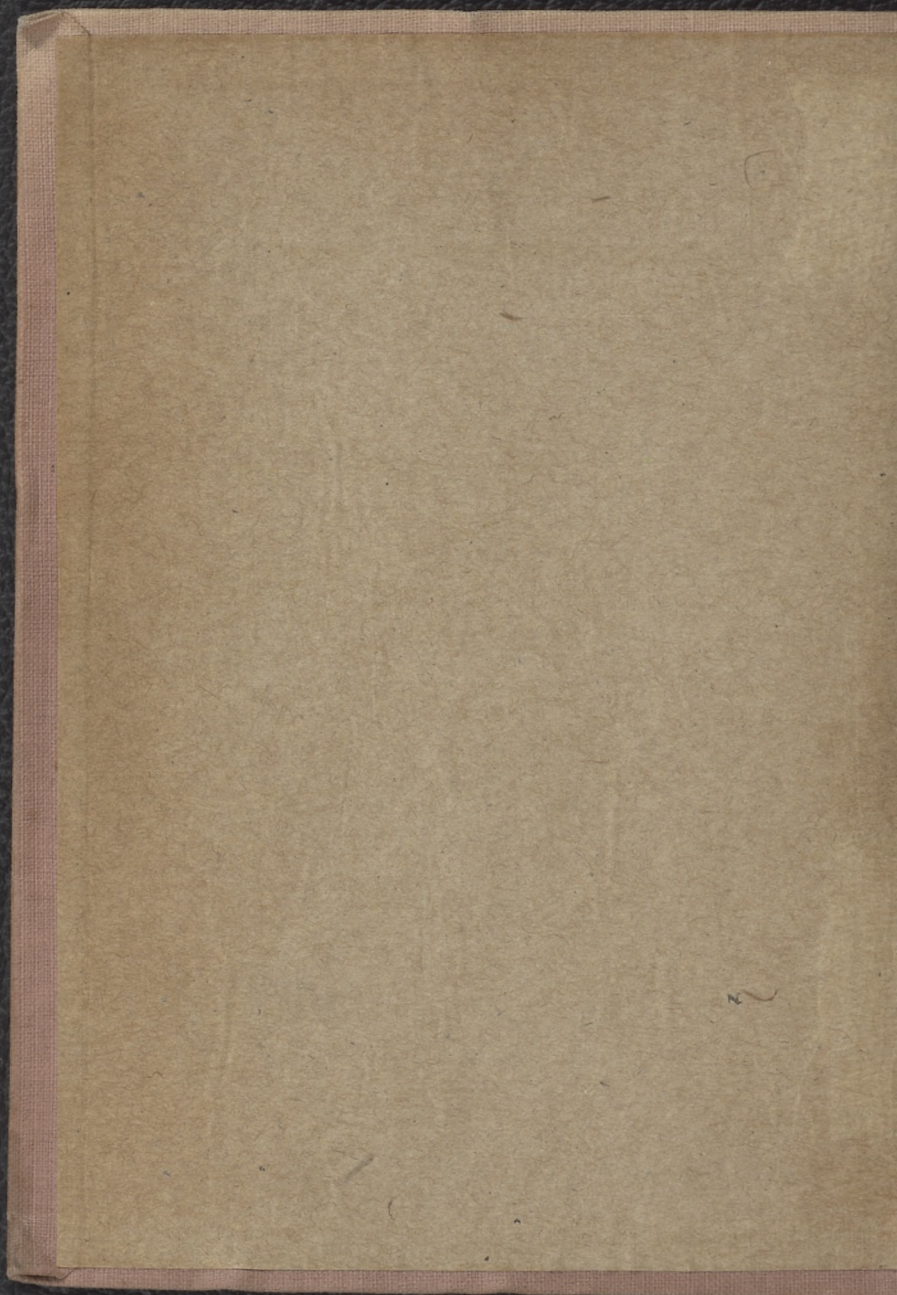


M. KOCIUBIŃSKI

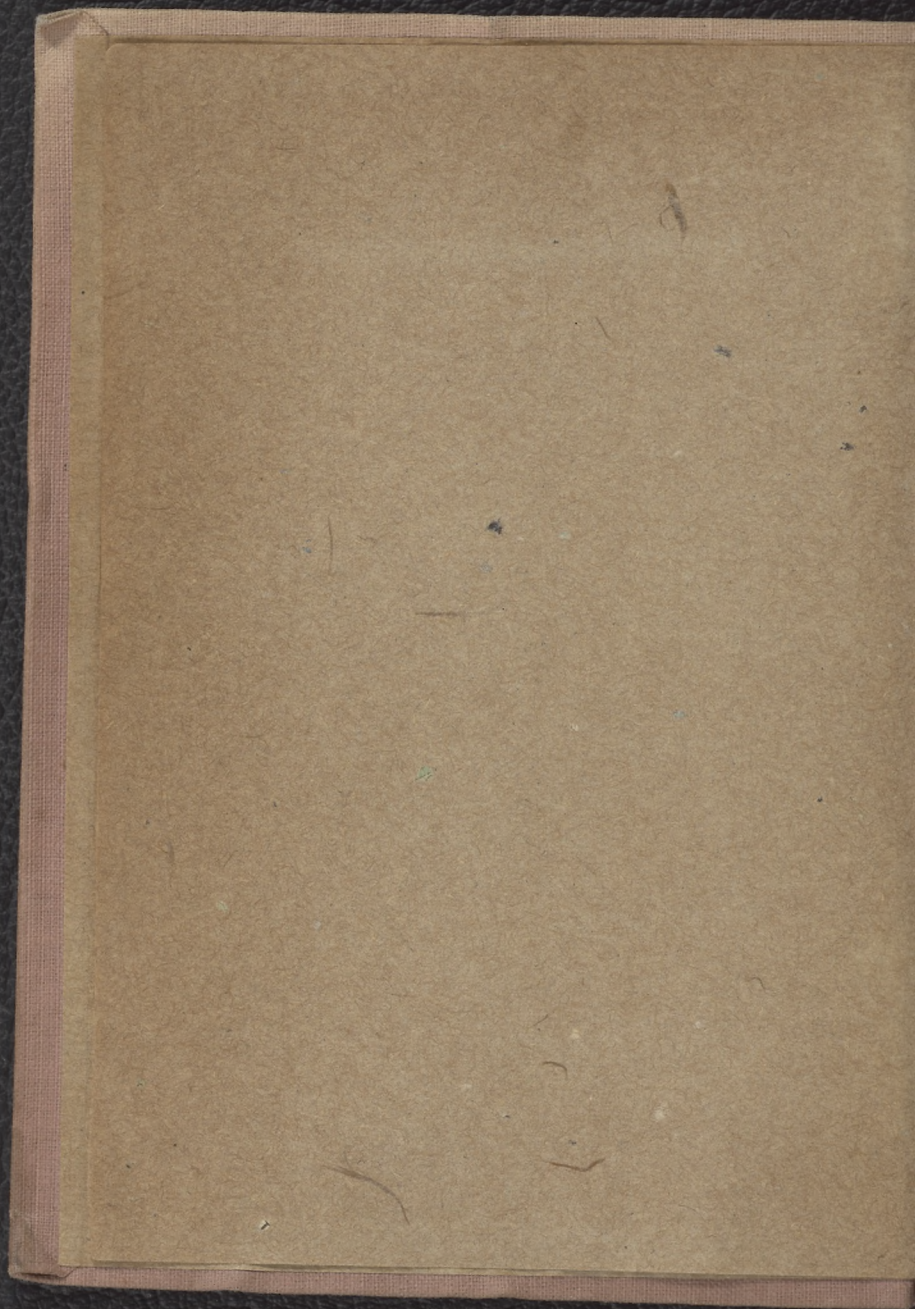


FATA MORGANA



~~I. 44. 222~~

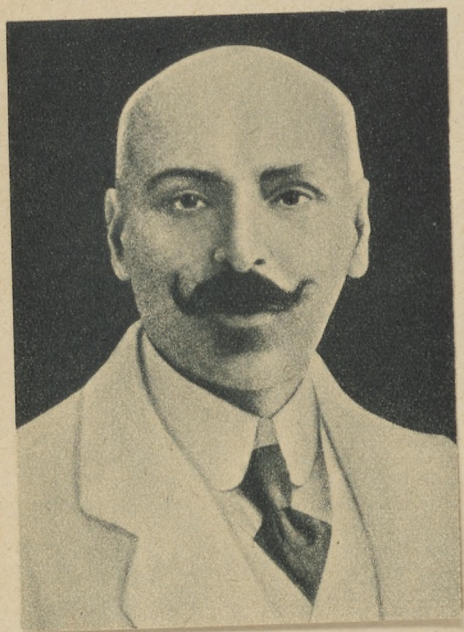
I. 300. 832



FATA MORGANA

Львівська Олімп
Бібліотека АН-УРСР

ОБСЛУГОВУВАНІ ПРИБЛИЖНО



M. KOCIUBIŃSKI

89 u

K-66 fm 20 1941

FATA MORGANA

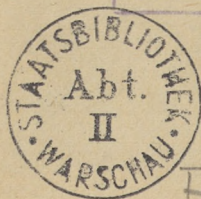
PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO MNIEJSZOŚCI NARODOWYCH USRR
Kijów - 1941 - Lwów

3953

891.79-52



Львівська Філія
Бібліотеки АН-УРСР



333 014

I. 300.832

~~I. 44.222~~

М. Коцюбинський
FATA MORGANA
(на польском языке)

Редактор: Бромберг А. С.

Тираж 5.000. Підписано до друку 20/І 1941. БФ. 2481.
Друк. арк. 4³/₈. Авт. арк. 6,3. 55.296 друк. знаків у 1 друк.
арк. Ціна книги 1 крб. 60 коп. Оправа 1 крб. 75 коп.

6. Літодрук. УПТ. Львів, вул. Личаківська 3. Зам. 1940.

144 S204

CZEŚĆ PIERWSZA

Gdy Andrzej Wołyk przechodził obok głównego gmachu spalonej cukrowni, z murów pogorzeliiska uniosły się z wraskiem wrony, a do wnętrza posypał się z łoskotem tynk i cegła. Chociaż cukrownia, dawno już porzucona, rozsypała się w gruzy i zarosła trawą, w opustoszałych jej zabudowaniach raz po raz dawał się słyszeć jakiś łoskot, jak gdyby w starych zgliszczach pozostał jeszcze stuk maszyn i gwar robotników. Mijając kupy potłuczonej cegły, białe plamy wapna, na wpół pokryte młodymi burzanami, zmurszałe koryta i czarne otwory — okna, przez które jak gdyby coś wyglądało, Andrzej wspomniął dawne czasy. Jakaś szyna, co polyskiwała w trawie niczym pelzająca żmija, albo żelazne koło, co do połowy ugrzęzło w ziemi, wywoływały przed jego oczy obraz zgiełkliwego życia fabryki, i widział siebie koło wagonetek z cukrem albo przy aparacie. Pobierał wtedy trzynaście rubli na miesiąc!...

— To ci były czasy, panie dobrodzieju — medytował na głos i gładził białego wasa.

Andrzej skierował się do starego brzoštu, rosnącego na samym szczycie wzgórza. Stamtąd zsuwały się w dół zabudowania fabryczne.

Na lewo od Andrzeja mieniła się w promieniach słońca srebrzystymi łuskami sadzawka, jak gdyby pluskały się w niej ryby, a za nią, na drugim wzgórzu, kryła się między drzewami cerkiew. Za brzostem

ciągnęła się w dole szeroka i zielona łąka poprzerzynana zakrętami błękitnej rzeczutki. Wierzby i rokiciana snuły się po łące szaro-zieloną mgłą i przesłaniały tu i ówdzie wodę. Na widnokregu w dalekich wioskach okolicznych bieliły się dzwonnice.

Był rozsloneczniony poranek niedzielny po świętach wielkanocnych. W cerkwiach biły dzwony. Dalekie dzwony brzmiały w jasnym powietrzu cicho i melodyjnie, i zdawało się, że to dźwięczy złoto słońca.

Andrzej spoglądał na rozwalone murowane domy i radośnie potrząsał głową.

— Oho! Długo już tak nie będzie!... Oni jak wezmą w swoje ręce, to raz dwa puszcza parę!...

„Oni“ — byli to Niemcy czy też czesi, a może i żydzi, co przed sześciu laty przyjeżdżali oglądać spaloną cukrownię. Chociaż po tym zdarzeniu nikt już nie interesował się zwaliskami, Andrzej nie rozstawał się z nadzieją, że tylko patrzeć, jak zjadą panowie, wszystko poodnawiają i puszcza fabrykę w ruch.

No, a teraz był już tego pewny, bo dworski pastuch Choma Gudź szepnął mu na ucho tę nowinę. Choma, chociaż chodzi koło bydła, to jednak przecie jest bliżej panów, bo uwija się koło nich. Będzie fabryka, będzie!...

Bo to, panie dobrodzieju, z kretesem może teraz przepaść człowiek: zarobić nie ma gdzie, ziemi, odkąd żyje, nie miał, komorne płąć, gdzie rzucisz okiem bieda, a żreć człowiek musi! Ale tam! Wielkie mi szczęście — skraweczek ziemi! Kręci się jeden z drugim na tym swoim zagonie, a sam łązi czarny jak ziemia... A żre nie lepiej od tego, który nic nie ma... Gospodarze!...

Andrzej wzgardliwie splunął przez zęby.

Ot, fabryka, to już coś innego. Nie straszna wtedy człowiekowi ani posucha, ani ulewy. Robotą czystą, stała. Przyjdzie termin — bierz pieniądze...

I on wtenczas pijał piwo... Za gotówkę... Czyste, złote, chłodne piwo... Tfu!... Aż ślinkę człowiek lyka...

Myślał sobie: Hafijka podrośnie, zgodzi się do fabryki. Gdzieżby jeszcze dziewczyna tyle zarobiła?... I rychlej wydałaby się za męża. A juści... Toć to przecie kupa ludzi, znalazłby się taki, co by się z nią ożenił. Robotnik przy aparacie albo i ślusarz... Niech stara nie zawraca głowy ani sobie, ani dziewczynie: gospodarski syn nie weźmie ubogiej dziewczyny — nie taki teraz świat. A juści...

Myśli jego płynęły dalej. Takie lekkie, takie przeźroczyste jak powietrze wiosenne...

Nie ma ruin. Wszędzie są nowe zabudowania. Łoskot maszyn, syk pary, natłok ludzi, całe piekło roboty. Wszystko jest w ruchu, wszystko żyje, wszystko jest takie pociągające. Czuje siłę w rękach, a w ustach ma smak zimnego piwa...

Ostatnie dzwony zamarły w powietrzu. Z cerkwi już wychodzą. Z góry aż po groble sunie powoli chmara ludzi. Tupią buty chłopskie, łopoczą i trzepoczą się na wietrze wstążki dziewcząt.

O, tam idzie Małanka. Mała, chuda, czarna, w czystej koszuli, w zgrzebnej starej świtce. Andrzej nie widzi jej twarzy, jednak wie, że Małanka ma oczy spuszczone ku ziemi i zaciśnięte wargi. Choć biedniemy, ale uczciwi. Choć żyjemy z wyrobku, to jednak i dla nas jest miejsce w cerkwi. Obok niej Hafijka. Jak młoda sadzonka z pańskiego ogrodu. Uśmiešek błąka się pod wąsem Andrzeja. Wie dobrze, że nie ma we wsi piękniejszej dziewczyny. Siedemnasty rok zaczęła akurat na adwent...

— Ha-ha-ha! Patrzenie, gdzie on nabożeństwo odprawia. Jak się macie!...

Gruby głos dobiega z dołu i stara bezwasa twarz pańskiego pastucha Chomy Gudzia wygląda spoza pochylonego parkanu.

— A wyście jak myśleli — gdzie? Daj boże zdrowie...

— Po kiego licha ja bym tu siedział, toć już lepiej u Mendla... Psia jucha przywiózł świeżego piwa, jeśli tylko nie łże... Alem mu powiedział: — bodaj tobie, powiadam, taka bolączka w wątrobę wlaża, i twojej Surze, i całej familii twojej...

— A to zafundujcie i skosztujemy wtedy, jakie to ono...

— Bodajście wszyscy pozdychali od takiej prawdy, jak trzymacie świeże piwo... A co myślicie, nie zafunduję? Chodźmy, napijemy się, daj go katu...

— Ale, zafundujecie? A z wołami jakże? Pan sam dopilnuje, czy co?

— A niech mu pozdychają do nocy... On myśli, do kroćset, że ja i w święto wypędzę mu bydło na paśzę? Pękniesz, a niedoczekanie twoje... Coś mam wam powiedzieć...

— No? Co?

— Przyjdźcie zaraz po południu do Mendla, wtedy powiem...

— No, no!...

— Pogadamy, napijemy się piwa, siarczyste...
— ostatnie słowa przepadły gdzieś za parkanem.

* * *

Andrzej spieszył do domu. Przed nim ciągnął się gościńiec już w kurzu, chociaż była to wczesna wiosna. Nad gościńcem bieleła się jego chałupka, jak gdyby szła dokądś ze wsi i przystała odpocząć. Droga ciągnęli ludzie z kijami, z tobołkami. Oto teraz Hafijka wyniosła jednemu wody. Stanęli i rozmawiają. Znowu nadciąga gromadka... Jeszcze kupka... Przechodzą i przechodzą. A ten stoi. Ej, ej! Ależ to cały klucz żurawi. Idą i idą... Gdzieś do Taurydy albo na Ku-

bań. To ci dopiero synkowie gospodarscy, chleboroby... Swoja ziemia rąk się prosi, a ten puścił się w drogę i... A cóż ma robić jeden z drugim na swoim skrawku? Oj, namnożyło się was. Nie ma na was wojny albo cholery. Jedni z wioski, a drudzy do wioski. Albo ten Marko Huszcza, co go tu niedawno przyprowadzili, jako aresztanta... Brał ci, panie dobrodzieju, we fabryce po siedemnaście rubli na miesiąc i zaczął buntować. Mała, powiada, zapłata, dużo pracy. Przełożeni prawią mu jedno, a on im na to drugie... Ha, jak nie chcesz, no to masz: sprali go batogami i hajda do domu pod karabinami... Ale, ja bym takiemu buntownikowi...

A ten stoi. Z kimże to ona tak się zagadała? Ej, czy to nie Prokop Kandziuba? Doprawdy on... O, Małanka wyszła przed próg i zaraz schowała się z powrotem... Niech dziewczyna postoi z gospodarskim synem... Patrzaj, żeby czasem nie zaswatał. Cha!... A jakże!...

Andrzej poszedł do chaty. Krzywa, pochylona chałupka z czarną strzechą i białymi ścianami stała pomiędzy porzuconymi zabudowaniami o zabitych oknach, które kiedyś fabryka postawiła dla robotników, i sprawiała wrażenie czegoś żywego i ciepłego wśród zimnych trupów. Obok chaty szarzały skopane grządki, od furtki do progu wiodła ścieżynka.

Za to sąsiednie ogródki pełne były zielska i gruzu; nieuprawiona ziemia jeżyła się przeszłorocznymi badyłami, a na czarnych ruinach zawsze siedziały wrony.

Andrzej zastał Małankę potulną i łagodną, jak zawsze po nabożeństwie. Dziś więc będzie go lajała nie tak jak w dni powszednie, tylko ze słodkim uśmiechem i czułymi słowami. Spoglądając z ukosa na mocno zaciśnięte usta żony, Andrzej z przesadną żwawością zrzucił z ramion świtkę i rozsiadł się na

ławie, jak pan. Ba! Czyż to on nie gospodarz w swojej chacie! Jednakże w duszy Andrzej żywił tajoną nadzieję, że wszystko jakoś przejdzie i żona go nie zaczepi.

Ale w tej samej chwili, zdejmując półmisek z półki, Małanka rzuciła na niego okiem.

— Wynajależ się?

„O! A jednak się zaczyna!“ — pomyślał, ale udał niewiniątko.

— Co?

— Czyś się zgodził na folwark, pytam?

„Widzisz ja, piekielna baba: wie przecie, że tam nie byłem, a pyta.“

— Et, daj mi ta spokój z twoim folwarkiem... Nie to całkiem mam teraz na myśli. Gudź mówił — zaraz cukrownię będą budowali...

— Słuchaj, serce, Gudzia, słuchaj, Andrzejku... Wkrótce przywdziewiesz torbę żebracza, a i ja będę musiała...

Zacisnęła cienkie wargi i wzniosła oczy do pułapu. Cóż robić? Milczy, boć to grzech kłać w święto, ale żeby tak wszystkim tym, co klepią o fabryce, języki skołowaciały, byłoby to bardzo dobrze. Fabryka, fabryka, a gdzie ta fabryka? No, była fabryka, a kto z niej korzyść ciągnął? — Mendel. Może nieprawda? Może nie u Mendla pozostawał cały jego zarobek? Co oni mają, z czego żyją? Już jej ręce poschły od pracy, już wszystkie żyły z siebie powypruwała, byle tylko nie zdechnąć, niech bóg daruje, z głodu...

I podsuwała mu przed oczy ręce cienkie i czarne, sztywne niby z żelaza, gołe po same łokcie.

— Bo chłop nie zarobi, oj, nie zarobi, ten mój kochany. On myśli o piwku, a o tym ani wspomni, że...

I zaczęło się! Dała mu lekcję, robiła mu rachunek sumienia, przywodziła do skruchy, a przy tym cięła go, przypiekała i sadziła zarazem diabłami tak ostroż-

nie, tak delikatnie, jak tylko to jest możebne w niedzie-
lę, po nabożeństwie; on zaś, czerwony jak gotowany
rak, z początku zbywał ją milczeniem, a wreszcie sam
zaczął wywrzaskiwać cienkim naderwanym głósiem.

W końcu wziął górę.

— Tfu, tfu, tfu! Po trzykroć tfu, na twoją ziemię!
Niech ona ci się zapadnie. Nie wynajmę się i nie będę
grzebał się w ziemi. Wszystkie siły ze mnie wyciągnę-
ła i na starość puściła mnie gołego. Tfu, jeszcze raz tfu
na nią...

Wówczas Małanka stanęła jak słup i wyciągnęła
ręce do nieba.

— Co ty gadasz, nieprzytomny! Padnij na kola-
na i całuj ją... jedz ją, ziemię świętą, ona ciebie kar-
mi... ona cię i pochowa, chłópie...

Stała blada jak wcielenie bólu i nie na żarty prze-
straszona.

Chmurę rozwiała jaskółka. Wbiegła Hafijka,
skwapliwie chowając coś w zanadrze. To czyste, wy-
chuchane, jak gdyby wylizane przez matkę stworzon-
ko, o złotych włoskach, takie jędrne jak sprężyna,
z okrągłymi brązowymi rękoma i nogami, ta wiosen-
na złota pszczołka — wniosła do chaty coś takiego,
od czego białe ściany pod niskim pułapem rozpromie-
niły się uśmiechem, gołąb wykręcił się na nitce przed
obrazami, a ponaklejani na ścianach kozacy z czer-
wonego papieru wzięli się pod boki.

— Mamo, dawać obiad?

— Dawaj, dawaj, Hafijko...

Małanka od razu ochłonęła.

— Ale czego ty się kręcisz po chacie jak ten
bąk? Jeszcze misy potłuczysz. I w cerkwi wciąż
ogładałaś się i wierciłaś.

— Ale jego nie było w cerkwi.

— Kogo „jego“?

— E, to ja tak sobie...



— Co tobie dzisiaj, dziewczyno: o mało barszczu nie wywróciłaś.

— Strach, powiada, co się działo: ludzi, powiada, jak na wojnie, ani okiem objąć... a jeźdźcy nacierają, tratują. „Rozchodzić się!” — krzyczą. A tamci: „Nie pójdziemy, oddaj nam co nasze... my za prawdę...”

— Ale kto to opowiada?

— Marko... niedawno wrócił z Odessy.

— To Huszczów? Powiadają — przyłapali go na złodziejstwie, posiedział w kryminale i przyprowadzili go tu, na pociechę staremu ojcu.

Hafijka uniosła się.

— Bezczelne kłamstwo! To ludzie łżą. On nic nie kradł, jak mi bóg miły!...

— A zamilczcież nareszcie! — huknął Andrzej. — Jakie ci tam złodziejstwo! Przecie mnie strażnik opowiadał, gdym chodził na pocztę. On, ten Huszcza, nie kradł, ale ludzi buntował. Takiemu by, powiada strażnik, w więzieniu gnąć, a nie żyć na swobodzie...

— Ale jak ich tam, tato, krzywdzono.

— Co ty tam rozumiesz! Ot niech tylko zobaczą, że on tu swoje brednie rozpuszcza i książki ludziom czyta — od razu ręce do tyłu i do strażnika.

— A to ci przyczepili się... Sami nie wiedzą za co...

— A co tobie? Ty z nim, uważaj, nie wdawaj się, bo jak zobaczą, panie dobrodzieju, to...

Nie dokończył jednak; w tej samej chwili, gdy Hafijka nachyliła się, żeby wyciągnąć z pieca garnczyk, z zanadru wysliznęła jej się książka i upadła na ziemię. Hafijka zapomniała o garnczku, porwała książkę i cała czerwona, z oczyma pełnymi łez, pędem rzuciła się do sieni. Andrzej przeniósł zdumione spojrzenie na Małankę.

Ale Małanka nie wyglądała już świątecznie i po bożemu. W jednej chwili zapomniała, że w niedzielę nie wolno kłaść, i łyskała ku mężowi zielonymi oczyma.

Andrzej miał piękną przyprawę do niedzielnego obiadu, tym bardziej, że na wszystkie wezwania do jedzenia Hafijka nie weszła już do chaty.

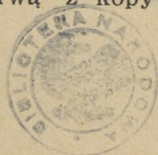
* * *

No, dał nam bóg niedzielę, można odpocząć. Małanka siadła na przyzbie i położyła ręce na kolana. Andrzej gdzieś się zapodział; Hafijka poszła na muzykę, a w izbie smutno.

Słońce stoi nisko, nie wyżej niż na trzy chłopa od ziemi; opustoszałe i odrapane chałupki rzucają postrzępione cienie. Zakurzony gościniec biegnie spod nóg Małanki w pole. Pustka dokoła. Młodzież wiejska bawi się na wygonie; starzy gwarzą sobie pod furtkami, a Małanka ma zwykłych gości — swoje myśli.

Och, boże, boże, nie tak wiele tego życia, ale jak ciężko je przeżyć. Andrzej znów nie wynajął się. I tak co roku. Lekkiego chleba szuka... Wszystkie, powiada, siły nadaremnie oddał ziemi, więcej nie chce. Znów będzie ryby łowił... na pocztę pobiegnie, jeżeli pan pośle, zająca zastrzeli. Ludzie żną albo koszą, a jej Andrzej zdąża ścieżką, z rzemienną torbą przewieszoną przez ramię, z kapeluszem zsuniętym na kark i wywija sobie kijem...

Jakaś kurzawa na drodze. Co to pędzi tak szybko? Aha, to pewno panicz Lolo jadą w gości do dworu z sąsiedniego folwarku. A juści. O, i panienska Tosia... i garbata panna Anna, i panicz Piotruś. Gniade konie rwą z kopyta, w tumanie kurzawy



śmieją się młode twarze, kiwają do niej... Małanka wstaje, kłania się nisko, jakby przed świętymi obrazami, i długo patrzy w ślad za nimi, jak kłębi się za bryczką pozłocony słońcem pył.

Wszyscy oni przy niej wyrosli, na jej oczach... I naraz skądś wionęła na nią woń smakowitego barszczu. Jadła taki barszcz, kiedy służyła u państwa. Dawno to było, a teraz przypomniało jej się, kiedy żyje na samych ziemniakach... Małanka siada i znowu kładzie czarne ręce na kolana. Ot, gdzie szerniały jej te ręce: w robocie u państwa. Kiedy miała osiem lat, umarł ojciec, a gdy skończyła jedenaście, nie miała już nikogo oprócz gospodarzy. Po matce pozostała jej tylko stara skrzynia, dwie, trzy zapaski i latany kozuch. I tyle wszystkiego.

Z początku pamięta siebie czarną, wiecznie w sadzy, przy pańskich świniach. Potem była na pokojach, raz po raz tłukła naczynia, a ją tłukła pani i zaczepiali panicze. Potem kazano jej gotować jedzenie dla czeladzi i gotowała tak długo, aż postarzała w panieństwie. Cicha, potulna, wszystkich słuchała i popłakiwała po kątach. Płakała, że haruje na obcych, że schnie, marnuje siły i nikt jej się nie trafia. Płakała, bo kochała ziemię, ogród, pole, a tymczasem musiała warzyć jedzenie całemu tabunowi nienazartej czeladzi. Dokoła ciągnęła się ziemia, taka czarna, pulchna, żyzna, na wiosnę bujna, w jesieni bogata, a jej nikt nie wołał na tę ziemię, żaden z gospodarskich synów nie chciał jej zrobić swoją gospodynią. Potem jakoś wyszła za Andrzeja. Jak to się stało, że poszła za niego, wiecznego najmitę, starego parobka, włóczęgę co nie miał nawet własnej chałupy, a nie tylko ziemi — sama dotąd jeszcze nie wie. Zeszła się bieda z nędzą; a z nich wyrosło nieszczęście. Jak gdyby z góry przeczuwała to. Bo tak strasznie płakała na weselu.

Po jednej stronie śpiewają druhny, a z drugiej —
druźbowie, w chacie niczym w ulu, do okien zagląda
czeladź...

Imbiru, matusiu, imbiru,
Zawiń w rąbek papieru.

A jej coś podeszło pod samo gardło, dusi ją,
i Małanka wali głową o stół, zawodzi i skrapia łzami
swoje czarne już wtedy ręce.

To doła jej płakała wówczas.

Marnie zeszyły jej lata na tym świecie, popłynęły
jak liść po Dunaju...

— A sio, przekłete... A sio!

Małanka zerwała się z przyzby i cisnęła gładką.
Kwoczek z kurczętami usadowiła się na grządkach
i, spłoszona, gdała gniewnie i stroszyła pióra. Żółte
kurczęta rozpierzchły się po grządkach jak groch.
Wystraszone tym zamieszaniem zerwały się z sąsied-
niej chaty wrony, załopotwały skrzydłami nad obdarta
strzechą.

Małanka uspokoiła się i znów siadła na przyzbie.
Słońce opuściło się jeszcze niżej.

Ej, ale gdzieś długo zabawiła Hafijka na tej swo-
jej muzyce. A niech tam poweseli się dziecko. Tylko
tyle ma wolności, dopóki u mamy i u taty. A i to
ludziom solą w oku. Kowalicha mówiła: „No-
szą się z tą Hafijką, jakby z jaką panienką, do służ-
by jej nie oddają — bogacze się znaleźli“... Bodaj
tobie, boże odpuść mi ten grzech, tyle wrzodów, ile
my się biedy najemy. Dobrze ci gadać, kiedy u ciebie
pełna chata dziewczek, a ja mam jedną jedyną jak tę du-
szyczkę. Tyle tylko pociechy na starość. Wyniań-
czyłam to, wypieściłam, myłam i cesałam, a teraz
oddaj ludziom! Mało jeszcze ludzie mnie poniewie-
rali, wszystkie siły mi zabrali, całą krew wyssali,
a teraz jeszcze im dziecinę oddaj... Niedoczekanie!

Nie taką ona jej dolę przygotowuje: wyda ją za
mąż za gospodarskiego syna, Dziewczę hoże, czyste,
aż lubo patrzyć. Nie dziw, że parobki za nią wzro-
kiem wodzą. Wyjdzie za Prokopa; toć poszedł prze-
cie do Taurydy zrobić trochę grosza, żeby było za co
wesele wyprawić... Na jesieni przyśle swatów, już
ona widzi — co, jak i do czego...

Przed oczyma Małanki stała łąka — zielona,
wesoła, nad rzeczka... Ona wraz z Hafijką zbiera len.
Taka ładna niewiasta z Hafijki! Głowę ma przewią-
zaną chusteczką. Zbiera len i nuci sobie przy tym.
W kołysce śpi dzieciątko. Prokop przywiózł jęcz-
mień, układa go w stożek. I tak jej, starej, wesoło,
tak lekko, jak gdyby odmłodziła... Stoją dokoła
ogrody, jakby wianeczkami. Kapusta zwija się
w główki. Fasola już pożółkła, wiatr szeleści między
makówkami, arbuzy rozłożyły się jak karmne wie-
prze, a kartofle obrodziły, że aż nać się splotła. To
jej czarne ręce tu krzątały się, każdy buraczek, każda
cebulkę sama w ziemi zasadziła, sama też i zbierze,
jak bóg da doczekać. Teraz z niej gospodyni. Jak
nie na swoim, to na córczynym. Choć na starość
doczekała się... I sprawi sobie teraz czerwone
buty, miękkie, z kozłej skóry, z kutasami, jak u ko-
walichy. Odkąd wydała się za męża — a minęło już
chyba z górą osiemnaście lat — nie przestaje ma-
rzyć o takich butach, co roku zaczyna ciuć pieniądze,
ale pieniądze rozpląną się na coś innego — i bu-
tów jak nie ma, tak nie ma. Włożyć by takie buty
i białą zapaskę i tak pójść do cerkwi. I żeby tak po-
chowali...

— Siedzicie sobie? Pozdrawiam z niedzielą.

Małanka drgnęła. Aha! To kowalowa.

— A przecie! Pozdrawiam i was... Dał bóg świę-
to — więc świętuj je! Nie rób nic, nie pracuj... Pan
bóg powiedział: masz powszedni dzień — rób, a w nie-

dziękę nawet spod paznokcia nie wydlubuj brudu, bo i to robota. Leż, siedź i ani rusz się!

Małanka była słodka. Miała taki uśmieszek, jak gdyby rozmawiała z państwem we dworze.

— A ja właśnie z muzyki. Tyle już naszego, że choć pogapi się człowiek na młodzież. A wasza Hafijka tam wciąż chodzi i tańczy z tym odeskim paniczem — nie powiem, czy prawdę o nim ludzie gadają — z Markiem Huszczą... Wciąż w parze i w parze ze sobą, jak te gołąbki. Wiadoma rzecz, młodość. No to bywajcie mi zdrowi...

Małanka wciąż uśmiechała się słodko, choć dusza w niej aż syczała.

„Widzisz ją, tłusciocha — trzęsie sadłem, plotki roznosi!“ — odprowadzała kowalichę nieprzyjazną myślą. I czegoś przypomniało jej się poranne zajście z Hafijką.

Na ulicy tymczasem wydłużały się cienie.

Pod parkanami bawiły się dziewczynki, podrzucając bosymi nożynami piasek — trzy razy w jedną stronę, trzy razy w drugą. I miało się wrażenie, że to w kurzu bawi się stado wróbelków. Różowiły się dalekie pola. Znad łąk leciały ku wiosce bociany, pobłyskując białymi skrzydłami. Wiosenny wieczór nasuwał myśli.

„Jakaś ty prześliczna, ziemio — myślała sobie Małanka. — Tak wesoło obsiewać cię ziarnem, przystrajać ziołami, ubarwiać kwieciami. Wesoło jest uprawiać cię. Tylko tym jesteś niedobra, że nie garniesz się do biedaka. Dla bogaczy jaśniejesz pięknosciami, bogaczy karmisz, ubierasz, a biedaka przyjmujesz jeno w grób... Ale doczekają jeszcze i nasze ręce, że będą uprawiać swoje łąny, swoje ogrody, swoje sady... Podziela cię, ziemio, oj podziela. I mojemu dadzą... Wtedy skończy się cho-



dzenie na rybki... Chcesz czy nie chcesz, a idź, panie dobrodziejku, za plugiem... Och, boże, boże, żeby to choć na starość zaznać tego szczęścia — córeczkę swoją wyprowadzić na ludzi...“

A na ulicy rozpoczynał się ruch. Biegły dziewczęta, kobiety, dzieci — z kijami, z drągami. Łopotały spódnice, tupotały bose nogi, szczekały spłoszone psy. — Stefanie!... Owce leć zapędzać! — Leć sama-a!... — Matula tobie przykazywali — bodajesz pęk! — Tatulo tobie przykazywali — bodaj cię pokrećilo-o-o... — Naszych sześcioro, uważaj mi, Maryjko!... — Nie pogub jagniąt, jak wczoraj, bo cię zbiję na kwaśne jabłko!... Co-o? Gdzie-e? — Tiu-u-ha-a!...

Słońce czerwono zachodziło. Okna płonęły jak piece, ściany chałup stały się różowe, na białych koszulach rozlało się czerwone światło. Z oddali sunęła na wieś chmura kurzawy. Już się zbliżała, rosła, podnosiła się do nieba i nareszcie słońce dało w nią nurka i rozplynęło się różową mgłą. Dochodziły stamtąd jakieś trwożne dźwięki, niby płacz dzieci, albo jak gdyby gdzieś łomotały na klepisku — i nagle fala owczego stada zalała ulicę i wstrząsnęła powietrze różnodźwięcznym bekiem. Żywa masa ciał owczych ocierała się wełną, drgała i kołysała się jak galareta; cały las cienkich nówek zamigotał przed oczyma, gołe, głupie pyski rozdziawiały paszcze wśród różowej kurzawy i płakały: be-e-e... me-e-e... W różowym tumanie snuli się ludzie na kształt cieni, zjawiały się i znikaly niejasne zarysy chat, w morzu owczego lamentu ginęły wszelkie inne dźwięki; cały ten harmider robił wrażenie snu. Z tyłu za stadem owiec szedł czarny owczarz, wysoki chłop, jeszcze wyższy w niepewnym świetle, niby jakieś bóstwo mityczne, trząskał biczem i krzyczał dzikim, grubym głosem, przemagającym wszystko.

— Haria!... Trysz-trysz!... Hej!...

Na ulicy już pusto, wszystko znikło jak sen, kurz powoli osiada na ziemię, a wieczorne powietrze wciąż jeszcze drga żywym akordem zamierających dźwięków.

Na ziemię spojrzwały ciche gwiazdy.

* * *

Niebieskawe ściany, w kącie bety, stół zalany piwem. Ciasny alkierzyk u Mendla.

— Nie zawracajcie mi, Chomo, głowy, gadajcie zaraz, czy będzie fabryka? No, gadajcie — będzie?

Piwo pieniało się w zielonych szklankach i szumiało w głowie.

— Toć mówiłem, że będzie.

— Aha! A to na cóż radzicie wynająć Hafijkę do roboty?

— Radzę. Bo i tak się dziewczyna zmarnuje. Będzie w domu jeść, pić, tobie samemu na gorsze to wyjdzie. A ona ma tylko jedną dolę przed sobą — służbę. Myślisz, że ktoś za męża weźmie biedną? Posiwieje, a za męża nie wyjdzie. Oddaj do służby, dopóki trafia ci się. Od razu jutro odprowadzisz ją do Jamiszcz, do ekonomy; dobry ciarach, oby mu robactwo ozór stoczyło. Cóż, będziemy swatami? Toć dlatego wołałem cię właśnie do Mendla.

— Nie gadajcie mi o tym, nie lubię, a i w myśli mi to nie powstało.

— Zgódź ją, Andrzej, zgódź!

— Daj spokój, Chomo. Lepiej pijmy.

— Czego ty się stawiasz? Żebraki, nędzarze, brzuchy im z głodu poprzysychały do krzyży, a jeszcze to nosa zadziera. Gadam ci — zgódź ją, bo potem będziesz żałował.

— E, nie lubię takich rzeczy. Po co robić z gęby cholewę?

Andrzej zaczerwienił się i wstał od stołu.

— Siedź. Może nieprawda? Ty myślisz, żeś człowiek? Pies z ciebie, i basta. Jakie nasze życie? Psie... Ale siedźże.

Gudź położył Andrzejowi na ramiona swoje olbrzymie ręce i usadowił go. Potem przysunął doń swoją bezwąsą, czerwona od piwa twarz, od której buchało gorącem.

— Ty mi nie kręć. Gadaj mi: ileś lat przeżył? Pięćdziesiąt? Już patrzysz końca? A gdzie są twoje młode lata, gdzie jest twoja siła, pokaż swoją pracę. Pokazujesz mi odciski? Jeszcze i garb mi pokażesz! Całe życie skórę z ciebie darli, a ty, wole, ciągnij plug. Dola nasza taka, choćbyś zdechl z pracy, a jednak człowiekiem nie będziesz... Spójrz na mnie: myślisz — to Choma przed tobą siedzi? Bydlak siedzi. Jak stanąłem od maleństwa przy wołach, tak i dotąd tam stoję. Całe życie z bydłem, sam się stałem bydłem. Calusieńkie życie ogony widziałem zamiast ludzi, babrałem się w gnoju, w gnoju spałem, na gnoju jadłem i na kupie gnoju zdechnę. Zapomniałem nawet, co to za smak spać w chacie, siarczyste diabły mu w ogon! Koszula zeszczała na tobie jak kora na drzewie, portki wymazane wołą jucha, bo krew wołom puszczam, rąk nie mogę domyć po gnoju... Siadę z czeladzią obiad jeść, to każde ode mnie się odwraca — bo śmierdzą. A tyś myślał, że pachnie ode mnie. Uciekam od ludzi — do wołów uciekam. Z wołami rozmawiam. Gadam sobie do nich, żal swój wylewam, a one ruszają głębami, porykują i ogonami mi odmachują. To cała moja uciecha. A tyś myślał, że kobieta do mnie przemówi, a jeszcze mnie i przytuli... że dzieci zaszczebiocą... swoją chałupa ogrzeje. Cha! Przy tych wołach osiawiałem jako parobek, niechby je mór wybił! Teraz dopiero ciesz się, człowiecze, na starość! A bodajże mu dech zaparło, żeby go zakre-

ciło nad drzewami i cisnęło na zmarnowanie! A bodaj on głową nałożył, bodaj go nędza skarąła!... Do stu-
kroć stu tysięcy jego ma... Bodaj...

— Hej, czego krzyczysz, chłopie, czego klniesz?

— Ha? Czego klnę? Na duszy robi mi się lżej...
Jak uzbiera mi się tam — to zwymyślam ludzi i lżej mi... Jakbym nie kłął, to spaliłbym się. Taką złość w sobie czuję, aż dusza we mnie dygocze... Jak zapiecze, jak zacznie — to wziąłbym do rąk drąg i wytłukłbym wszystkich do nogi. Chodziłbym od chałupy do chałupy — i po łbie, i po łbie. Jednego za to, że ludzką krew pije, a drugiego, że nie broni mu tego. A później podpaliłbym, żeby się wszystko w ogień przemieniło i popiołem rozwiało, żeby tylko pozostała sama goła ziemia i jasne słońce.

Choma stał w izdebce wysoki, aż do pułapu, oczy patrzyły mu gdzieś poza ściany; bezwasa a pomarszczona jakby u starej baby twarz wykrzywiła mu się. Aż drżał cały. Potem raptem opadł z sił, rzucił się na ławę i duszkiem wychylił piwo.

Andrzeja przejęło do żywego... Chciał, żeby jego też posłuchali, żeby usłyszeli całe jego życie, jak ono stańło przed nim o tu, w ciasnym żydowskim alkie-rzyku. Dożył do siwego włosa, a dobra nie zaznał, oj, nie...

— Ja se tak miarkuję, Chomo, że jeśli człowiek pracuje...

Ale Choma znowu piorunował:

— Zgiń ty marnie, przepadnij. Jednemu wszystko, drugiemu nic. Czyż nie widziałem na własne oczy, jak stara dziedziczka...

— ...Jeśli człowiek pracuje, musi coś za to mieć. A jak ziemia nic mi nie daje...

— ...Stara dziedziczka całą zimę paliła w pie-cach tym płótnem, co jeszcze pozostało z czasów pańszczyzny.

— ...No, a jak ziemia nic nie daje — to po kiego licha mi ona? Wszystko mi jedno, czy ja najmita na swoim, czy na cudzym. Tak czy owak najmita. Prawdę wy...

— Zleżało się płótno w komorach. Ludzie proszą: dajcie choć na koszulinę, niech praca ludzka nie zginie marne. Ale to posłuchajże!

— Słucham, słucham, Hej, słyszycie, prawdę wygadacie, takie to psie życie. Toć to wysmuktali i ze mnie wszystkie siły. Toć to całe życie swoje i ja napychałem cudze brzuchy. Jeszcze jak była fabryka, to żyło się jakoś, ale odkąd spaliła się...

— A juści spaliło się, całe płótno spaliło się.

— Jakie płótno?

— Jak to — jakie? Toć opowiadałem.

— A — tak, tak. No, pijmy lepiej! Za wasze...

— A jakże będzie z Hafijką? Dasz do służby?

— Ale, daj mi spokój! Pijmy!

— No, daj go katu, nie chcesz, to jak sobie zechcesz. — Choma wychylił duszkiem piwo i z całej siły cisnął szklanką o ziemię

Na brzęk tłuczonego szkła przybiegł przestraszony Mendel.

* * *

Było jakieś święto. Hafijka siedziała na przyzbie za chatą. U jej stóp grzebały kury i gdakały, dopominając się pożywienia. Na przyzbie leżała otwarta książka.

— A sio, a sio, idźcie sobie grzebać popod płot... — odpędzała je Hafijka. — No, czego gdaczecie mi tu, głupiutki? A ty czego, czubatko, wyciągasz szyję i zaglądasz mi w ręce? Już dostałaś jeść. Tylko byście żarły, głupie takie. Gniewasz się, że tak mówię? No to idź, spytaj się Marka, posłuchaj, co rozumni ludzie

opowiadają. On by wam powiedział! głupiecie, na całe życie głupie. Dają wam garstkę jagiel, a zabierają wszystkie wasze jajka albo zarzynają was na rosół. A ty, kogucie, niepotrzebnie trzepiesz skrzydłami, udajesz zucha. Gdybyś był taki odważny jak Marko, to nie dalbyś sprzedawać swoich dzieci panom na pieczone. A może nie? No, aleś ty kogut, a Marko — orzeł. Posłuchałbyś, co on mówi... On powiada... Ale co ty rozumiesz? Przecież niczego z tego nie pojmiesz! Bo jakbyś był mądrzejszy, to byś zobaczył, że i z ludźmi tak jak z kurami... No, czego tak gdaczesz, bielutka? Czego śmiejesz się? Czy myślisz, że nie wiem, co u was jest dobrego? Myślisz sobie, że możesz kochać, kogo sama zechcesz, a ja muszę wyjść za męża za Prokopa, bo mnie matula za niego swatają? Głupiaś ty, głupia... A niech mnie pała, niech mnie kraja... niech mnie lepiej w ziemię zakopią! Czy słyszysz ty, czubatko? No, idź sobie precz, kiedy głową kręcisz, niedobra! Nie bój się, Marko nikomu mnie nie odda... Bo on jest orzeł... a nad nim, wiecie, kury, tyle tych wron, tyle tych wron... o mało go nie zadziobią. Kiedy i ludzie na niego, i wójt, i nawet tato nastają... a on przecież dobra chce ludziom. Nie tato, ale Marko... Słyszycie, kury, jaki to on dobry, ten mój Marko... Za to też parobcy i dziewczęta strach jak go kochają... i słuchają. A ty dokąd, przekłety? A sio! Widzisz go — ślad zostawił na książce! Co to mi Marko powie, jak zobaczy na niej kogucie ślady? Powie: kogut więcej czytał niż ty. No, teraz jazda wszystkie ode mnie, a sio, bo muszę czytać. Przysunę się bliżej do słoneczka, niech i ono zagląda do książki, niech i ono poczyta sobie... No, wszystkie jazda!...

* * *

Z pogodą coś się działo. Wiosna była sucha i wietrzna. W ogrodach wszystko schło, zboża w polu nie

rosły, na gościńcach unosiły się całe obłoki kurzawy. Ludzie błagali deszczu, bo wszystko zwiastowało głód. Ceny na chleb raptem podskoczyły do góry i Małanka była tym taka strapiiona, że co nocy miała nie-dobre sny. Ale za to, im gorzej było dokoła, im bardziej nikły nadzieje rolników, tym mocniej Andrzeja opanowywały marzenia o fabryce. Podobnie do tego jak Małance droga mąka, tak Andrzejowi śniła się fabryka. Nieraz zrywał się wśród nocy i przez sen, z nieopisanym przerażeniem w głosie zapytywał Małanki:

— Już był gwizdek?

— Jaki gwizdek?

— No, fabryka gwizdała? — gniewał się Andrzej.

— Opamiętaj się, chłopie... To tobie w głowie gwizdże, po nocach tłuczesz się — mamrotała sploszona Małanka, ziewała, wzdychała i nie mogła już zasnąć do rana.

Niecierpliwość trawiła Andrzeja.

Raz po raz biegł na zwałiska, coś przymierzał, medytował, obliczał. Później biegał do ludzi, rozpytywał, puszczał pogłoski, a gdy te znowu wracały do niego, znacznie zmienione i już bardziej stanowcze, cieszył się, przechwalał się Małance i dawał im wiarę. Nawet swoje zwykłe zarobki traktował teraz z lekceważeniem i nie poszukiwał ich.

Małanka wyrzekała. Im dalej, tym trudniej i coraz trudniej stawało się znaleźć jakąś robotę. Trawy powypalały się na łąkach, folwarki nie przyjmowały więcej ludzi do pracy. Przystępując do pieca Małanka po prostu traciła głowę, bo nie wiedziała, co ma gotować. Strawy nie było, wieczne pożyczanie uprzykrzyło się wszystkim i nawet Małance. Najbardziej serce ją bolało o Hafijkę — takie to młode, jedyna córeczka, a musi głodem przymierać. Wprost jakimś cudem zdobywała dla niej i przynosiła pod fartuchem miseczkę jagód albo świeży placek. Andrzej mało kie-

dy zwracał uwagę na podawaną strawę — głowę miał całkowicie zaprzątniętą fabryką — ale czasem i on odsuwał wodnistą polewkę i zaczynał gderać. Małanka czatowała na taką chwilę. Cała zapalała się złą radością i bryzgała mu w twarz całą trucizną, wszystkimi szumowinami swego serca.

W jednej chacie mieszkało dwoje wrogów i choć każde z nich pograżało się we własne myśli, a nawet uciekało jedno od drugiego, jednak dosyć było jakiejś najmniejszej drobnostki — i złość trzęsła obojgiem jak zimnica.

Jedyne, co ich łączyło — to przypomnienie tego, że Gudź radził oddać Hafijkę do służby.

— A ty co, plunałeś mu w oczy? — dopytywała Małanka, a sama, uśmiechając się, myślała: „czekaj, czekaj, niech jesień przyjdzie, wtedy zobaczymy...”

— A ja tak rozzłościłem się, że mało nie potłukłem Chomy! Jak mi bóg miły! — przechwalał się Andrzej. — Też mu do łba strzeliło!...

* * *

— A ty co tu robisz?

Małanka wytrzeszczyła oczy i przystanęła w progu. Na przypiecku potrzaskiwał chrust i w garnczku coś bulgotało. Andrzej patrzył na ogień, cały zaczerwieniony i pochłonięty. Małanka zaskoczyła go niespodziewanie, a on uśmiechał się niepewnie, głupkowato. Małanka podeszła do pieca, odsunęła garnczek i zająrzała doń.

— Rybę gotujesz? — zapytała wystraszonym głosem i zbladła cała jak płótno.

Andrzej poderwał się z miejsca, z powrotem wsunął garnczek, obłożył go gorącym węglem i uśmiechał się w milczeniu.

— Słyszysz, Hafijko, on rybę gotuje! — wykrzyknęła Małanka.

W głosie jej brzmiała taka zgroza, jak gdyby w tym garnuszku gotowało się co najmniej ludzkie mięso.

— Zglupiał! Zglupiał! Jak mi bóg miły, zglupiał! — krzyczała Małanka biegnąc po izbie jakby się paliło.

Naraz zatrzymała się przed Andrzejem, klasnęła w dłoń i nie rozkładając rąk przypatrywała mu się zdziwionymi, pełnymi oburzenia i zgrozy oczyma.

On rybę gotuje! Lina, co go rano złowił! Co wazył co najmniej cztery funty! Nie zaniósł do dworu, nie sprzedał panu! Oj, skończenie świata! Jeszcze czegoś podobnego nie było, odkąd Andrzej chodzi na ryby! Nigdy jeszcze nie zjedli większej ryby, jaką jedzą u państwa. Za takiego lina można by wziąć ze dwa złote, a ten go ugotował!

Wszystko to z płaczem wykrzykiwała Małanka do Andrzeja przy bulgotaniu garnuszka i trzasku suchego chrustu.

Andrzej usiłował wszystko w żart obrócić.

— Nie stękaj, stara, siadaj i podjedz ryby. Nie ma mięsa jak wieprzowina, nie ma ryby jak...

Z tymi słowami postawił garnuszek na stół i naładował do miski polewki.

— Żryj sam, bodajś się udławil! My z głodu puchniemy, w chacie nie ma ani okruszynki chleba, a ten rybę gotuje!

Andrzejowi zrobiło się nieswojo; Małanka mówiła prawdę, ale jemu tak zachciało się ryby, ryba tak pojętnie pachniała, że aż mu nozdrza drżały i rozdymały się.

Sapiąc zasiadł nadaśany do ryby i mlaskał wargami, i chleptał polewkę tak głośno jak gdyby chciał zagłuszyć biadanie żony.

A Małanka srożyła się. Oprócz tego, że ją żywy żal brał za zmarnowaną rybą, była jeszcze głodna. Całkiem osłabła z głodu, tak jej się chciało czegoś gorącego, smacznego, niezwykłego, a zapach świeżo ugotowanej ryby łaskotał nozdrza, zapierał dech; aż ją mdliło od silnego pragnienia zjedzenia czegoś. Rozumiała jednak dobrze, że nie może nawet dotknąć tego jedzenia i tym mocniej pomstowała.

— Nie martw się, kobieto, prędko już postawią fabrykę, wtedy zarobię trochę grosza...

— Bodajś tak żył, jak ta fabryka będzie!

Andrzej podniósł oczy, i te na chwilę zatrzymały się i rzuciły dalekie spojrzenie gdzieś w przestrzeń, poza ściany, poza chatę — i naraz w jednej chwili stało mu się jasne, że istotnie fabryki nie będzie, że to marne nadzieje, że lepiej by nie gotował był ryby, którą można było sprzedać, a za to kupić chleba. I od razu ryba straciła wszystek swój smak, odleciała go chęć jedzenia i raptem zachciało mu się porzucić chatę.

Wziął czapkę i wyszedł.

Resztki niedojedzonej ryby stygły na stole, a Małanka z córką siedziały milczące po kątach i snuły gorzkie myśli w pomroce zgasłego dnia. Smutek pannał w chacie objąwszy się z ciszą.

Potem obydwie jednocześnie wstały, podeszły jak gdyby zmówiły się do stołu i w milczeniu zabrały się do ryby. Zjadły wszystko do najmniejszej okruszynki, wysmoktały ości, wychłęptały polewkę i jak zgłodniałe koty wylizały nawet miszkę.

* * *

Andrzej wybierał się na pocztę: przyczepił sobie do ramienia rzemionną torbę, do rąk wziął kostur — kiedy naraz wpadła Małanka. Wzruszenie

malowało się na jej twarzy. Błada, zadyszana, oczy żarzyły się jej i dygotała na całym ciele.

— Idź... Mierzą...

Andrzej wybaluszył na nią oczy.

Małanka nie mogła mówić, przyciskała rękę do serca i ciężko oddychała. Drugą ręką, uwalaną w ziemi, bo dopiero co peła, wymachiwała mu przed oczyma i wskazywała na drzwi.

— Idźże... Bo mierzą...

— Kto mierzy? Co?

— Panowie, o!... Zjechali, będą grunta dzielili...

— Jakie grunta? Co ty pleciesz!...

— Wszystkie... Pomiędzy ludzi... Idź, przypilnuj, żeby nam odmierzyli niedaleko, bliżej od wsi. Bo jeszcze same resztki dostaniesz...

— Zgiń, przepadnij, maro! Opamiętajże się, kobieto. Ja na pocztę muszę iść.

Małanka zzieleniała.

— Pójdiesz ty mi?

Przyskoczyła do niego straszna jak dzika kotka, z wykrzywionymi ustami, z płonącym spojrzeniem, błada jak upiór.

— Pójdiesz ty mi zaraz! — wrzeszczała wysokim, cienkim głosem.

— Tobie to może wszystko jedno, ale mnie nie wszystko jedno! Ty córkę masz! Ty ją chcesz zamordować! Ty nas wszystkich zamordujesz. Idź mi natychmiast! Ludzie rozbiorą co najlepsze. Słyszysz? No!...

A widząc, że Andrzej nie rusza się z miejsca i tylko patrzy na nią, porwała z przypiecka maglownicę i zamierzyła się na niego.

— Idź, bo cię ukatrupię!...

Zdolna była zabić go na miejscu, Andrzej widział to.

— Tfu, durna! — wzruszył ramionami — toć widzisz, że idę. — Sapał jak miech kowalski i zaledwie mógł nadażyć za Małanką.

Wieczorem Małanka wróciła do domu radosna, prawie szczęśliwa. Uwijała się po chacie jak gdyby nosiły ją młode nogi, a myśli jej latały na kształt białych gołębi na słońcu. Uśmiechała się do siebie.

Takie cudaczne pany! Chodzą sobie po polu i mierzą. Ona im do nóg: „Panowie moi, gołabeczki, zmiłujcie się nade mną, biedną, odkrajcie mi ziemi bliżej, tu gdzie pszenica rodzi“ — a tamci w śmiech! „Idź, powiadają, babko, do domu, my całkiem co innego mierzymy.“ A sami pękają ze śmiechu, niech ich tam pan bóg ma w swojej opiece. Myślą, że jak ona durna baba, to już niczego nie może zrozumieć... Czekajcie, czekajcie, może i ona ma głowę na karku... Czyż to nie zmiarkowała, że oni ją oszukują. Przecież gdyby od razu ludziom rozgadać, że to dla nich ziemię dzieła, to by się tu zaraz taka Sodoma zaczęła, że żywcem zżarłby jeden drugiego... Każdy by rwał co lepsze. No, ale oni o biednej kobiecie będą pamiętali, nie ukrzywdzą jej. Jakby to jeszcze i Andrzej poprosił, ale stał jak ten słup, bodajby go...

Nie dokończyła przekleństwa, nie mogła dzisiaj kłać. Była dziś taka dobra, tak jej było wesoło, taka szkoda wszystkich. Przyrządzając wieczerzę nawet nucila półgłosem, a trzaskający płomień suchego chrustu jakby radował się wraz z nią. Andrzejowi podała wieczerzę z szacunkiem, jak przystoi gospodarzowi, który ma własny grunt i gospodarstwo, sama zaś nie mogła jeść, nie była głodna. Wszystko, do czego się brała, robiła z namaszczeniem, jakby w cerkwi celebrowała, a sama wciąż uśmiechała się do siebie. Na noc starannie umyła Hafijce głowę, wycesała włosy gestym grzebieniem, że aż się lśniły; sama je pozaplatała w warkocze i wstążeczkami pozawiaży-

wała. Żeby córuchna miała główkę jak słoneczko. Żeby dziewczę było nie gorsze od innych.

— Możebyś nowy lejbnik włożył, bo stary całkiem już rozlał się? — spytała Andrzeja i wydostała ze skrzyni jedyny jego odświętny przyodziewek. — Masz, kropnij sobie jagodniaku, kowalicha dała...

Andrzej dawno już nie widział jej tak pełnej łaskawości.

A jej serce roztajało, wszystko w niej śpiewało. Śpiewała pieśnią kłosów własna niwa, śpiewały skowronki nad nią, śpiewał piosenkę sierp podryznając źdźbła, rozbrzmiewały śpiewy na łące w czasie sianokosów, śpiewało w końcu serce, pełne nadziei. Uśmiechała się dola. Nie tylko jej własna, ale i Hafijki. W nogach odczuwała moc, w rękach — siłę. Czarne ręce były jak gdyby z żelaza.

Od tego dnia Małanka zaczęła biegać często na dworskie pole, żeby popatrzeć, jak panowie mierzą grunta. Błądzili oni jeszcze po polach ze dwa dni, a później wyjechali. Ale Małanka dobrze wiedziała, na co się zanosi. Zaczęła się szykować. Pieląc w ogrodzie u bogatego chłopca, nie chciała brać pieniędzy, ale prosiła zamiast nich o trochę ziarna pszenicy, aby samej też mieć ładny gatunek pszenicy. To do siewu, na rozplenienie. Gdy jadła jabłko, to ostrożnie wybierała ziarenka i suszyła je na oknie. Przyda się to. Nic nie mogło sprawić jej większej przyjemności, jak garsteczka nasion, wyproszona u porządnej gospodyni albo zarobiona za całodzienną pracę. Doszła wreszcie do tego, że, znalazłszy się w cudzym ogrodzie, szukała wzrokiem, czego by tu można wziąć na nasienie. I, oglądając się, odłamywała ukradkiem najładniejszą makówkę lub zrywała żółty już ogórek i chowała go w zanadrze. W izbie zebrało się wreszcie mnóstwo wszelkich węzełków z nasionami, większych i mniejszych, i raz wraz suszyło się coś na oknach.

— Gdzie ty to wszystko podziejesz? — dziwił się Andrzej. — Przecież mamy wszystkiego tylko dwie grządki.

Małanka uśmiechała się tajemniczo i pobłaźliwie kiwała głową.

— Nie martw się... Już moja w tym głowa...

W niedzielę chodziła do lasu, gdzie stały gotowe zręby budulca, oglądała je, wybierała najlepszy materiał, rozważała coś sobie i dopytywała się u leśników o cenę. Wracała do domu zadumana, z oczyma wpatrzonymi kędyś w przestrzeń, głaskała Hafijkę po głowie i niekiedy uśmiechała się sama do siebie.

Któregoś dnia wybrała się nawet na jarmark; dało to powód do gadania na wsi: pewno baba ma pieniądze, tylko się z tym kryje, bo łąziła po całym jarmarku i targowała spore prosie.

* * *

Raz, jakoś nad wieczorem, Małanka wychodziła z chaty i natknęła się na Hafijkę, która stała przytulona do drzwi.

— Co tu robisz? — spytała, ale gdy spojrzała na Hafijkę, to aż słabo jej się zrobiło.

— Co ci jest?

Hafijka nie odpowiadała. Stała skulona, blada, aż czarna i dygotała.

— Co jest z tobą? — dopytywała Małanka i wzięła Hafijkę za zimne ręce.

Hafijka milczała i trzęsła się jak w febrze. Małanka zaprowadziła ją do izby i rzuciła się zapalać światło. Przy słabym świetle lampy jeszcze czarniejsze cienie padły na twarz Hafijki; szeroko rozwarte przerażeniem oczy błyszczały jak szklane.

Małanka przelekkła się nie na żarty. Posadziła Hafijkę na podłodze i drżącymi rękoma poczęła dotykać jej twarzy, głowy.

— Co ci? Przelekałaś się czegoś? Boli cię co?
Odpowiedzi nie było. Tylko zimne ciało dygotało pod rękoma Małanki.

Zacząła wołać Andrzeja. Ale Andrzej gdzieś się zapodział.

Małanka zachodziła w głowę, co się stało z Hafijką. Czy kto urok na nią rzucił? Przestraszył? Czy ją cug chwycił? Dokąd chodziła? Gdzie była? Cóż to się, na boga, przytrafiło dziewczynie? Żeby choć przemówiła, żeby chociaż się odezwała, ale to milczy, jak nieżywe...

Szklane oczy i czarna, wychudzona od razu twarz przeraziły Małankę i aż sama zaczęła drżeć nad Hafijką, szybko żegnając ją całą drobnymi znakami krzyża.

Na szczęście nadszedł Andrzej. Był wesół czy podchmielony, bo rozprawiał głośno i widocznie w silnym podnieceniu.

— No, tak też się stało... Jeszcze wtedy powiedziałem... Przyjechali i zabrali...

Małanka zasyczała na niego.

— Gdzie ty się włóczysz?

— A gdzież? Na ulicy byłem! Patrzyłem, jak prowadzili Marka Huszcę... Przyjechali i zabrali. Doigrał się... Ja bym takiego, panie dobrodzieju, za kark i na gałąź... Sprawa krótka...

Z podłogi jęknęło.

— Cicho! — rzuciła się na Andrzeja Małanka. — Widzisz, zasłała. Leć po Mariannę... może odżegna, okadzi, czy przestрах jej wypędzi... Nie wiadomo, co jej takiego... No, lećże prędzej...

Andrzej pobiegł do znachorki.

Marianna widać pomogła, bo za dwa dni Hafijka wstała. Chuda, żółkła aż czarna, jak gdyby owdowiała, smutna i milcząca. Wciąż uciekała z chaty, aby

nie być razem ze starymi. Najbardziej unikała ojca, jakby bała się go. Płakała w ukryciu. I myślała, myślała, aż jej się ciasno robiło od myśli.

* * *

Nie zawsze bywały smutki, zdarzały się też chwilę radości.

Po długim letnim dniu, kiedy słońce zachodzi, a rozpalona ziemia powoli zrzuca z siebie swe złociste szaty, gdy na bladym, zmęczonym po dniu niebie zjawiają się ukradkiem nieśmiałe gwiazdy, kiedy w ostatnim promieniu słońca harczą niezliczone roje muszek, a przedziwnej miękkości złoto-różowe powietrze nabiera z dala tonów bzu i czyni przestwór jeszcze szerszym i głębszym — Małanka z Hafijką idą zakurzoną drogą i choć zmęczone jest ich ciało, ale zarazem napełnia je miłe poczucie skończonego dnia. Do domu nosią ciało spieczone jak ta ziemia, w łańdach zaś odzieży woń dojrzałych kłosów. Nie rozmawiają. Idą w milczeniu, pomachując sierpami. Grzbiet rozprostowany nareszcie, ręka, drżąca jeszcze po całodziennym naprężeniu, zwisa teraz wolno, miękki pył pod stopami zamiast ścierni — wszystko to wydaje się teraz szczęściem. A w domu czeka odpoczynek i sen, sen krótki jak noc letnia, ale błogi jak zimny liść na ranie. Byleby prędzej do domu... Nie wieczerać, nie siedzieć, nic się do nikogo nie odzywać, ale paść na ławę, jak kamień pada w wodę, i w tej chwili przymknąć oczy.

Senna, na wpół przytomna Małanka rozpala w piecu ogień i nastawia wodę, by ugotować Andrzejowi wieczerzę. Ogień buzuje, a ona przymyka oczy, kiwa się i wydaje jej się, że to szumią kłosa na łanie i sierp chlasta po źdźbłach... Och, jak duszno, jak słońce praży! Ależ nie: to ogień tak parzy, bo stanęła blisko... Oto nazęła snop i kręci powrósło... Plecy

tak ją bola, trudno zgiąć się. Aha, to ona ciasto na kluski gniecie... Żnij, Hafijko, żnij! Trudny zarobek dziecko, gdy się żnie za dwunasty snop, ale żać trzeba. Co, skaleczyłaś się w palec, sykasz z bólu?... Oj, nie, to woda wykipiała...

Andrzej pociąga polewkę... Zdaje się, że coś mówi... Czy to w izbie, czy na dworze?...

— Czemu nie jesz wieszery?

— Co?

— Idź jeść wieszery.

— Jedz sam... Później będę...

Łyżki trzeba po... a-a-a!... pomyć. Nogi takie ciężkie, jakby w butach... a głowa... głowa ledwo się na karku trzyma...

No, nareszcie... Na przyzbie lepiej... śpisz, Hafijko?... Wzięłabyś poduszkę... No, śpij, dziecko, i tak, kiedyś usnęła. Oj, kosteczki moje, kosteczki zbole! Oj, rączki, nóżki moje... „Któryś jest w niebie, chleba naszego powszedniego.“ A-a-a-a... Gwiazdy spoglądają z nieba. Tam żaby pokwakują do snu. Błękitna bania opuszcza się coraz niżej i niżej... tłoczy ciało, przyciska powieki. Tak słodko, spokojnie. Nie wstało by się i na sąd ostateczny, nie podniósłby się człowiek i po szczęście własne... A niebo coraz niżej i niżej... Pieści, przyciska... Gwiazdy łaskoczą, jak gdyby całowały. Dusza rozpuściła się w błękitie, ciało przylgnęło do przyzby i topnieje, by wosk na ogniu. Nie ma nic... niebyt... całkowity niebyt...

Czyż to nie szczęście?

* * *

Dopiero po żniwach wyszło na jaw, że zima będzie głodna. Wciąż susza i susza. Zboża powypalało, były rzadkie i słabe. Śmiech i rozpacz ogarniały na widok tego, co nażyły Małanka i Hafijka, upolowane zaś przez Andrzeja kaczkę i zające państwo zjedli.

Tej zimy jeszcze trudniej będzie o zarobek, aniżeli zeszłej. Ci, co mierzyli pola, gdzieś znikli bez śladu, ani słuchu o nich. Andrzej coś też ani piśnie o fabryce.

Na wsi toczyły się rozmowy o Gudziu. Mówiono, że w gniewie zabił drągiem wołu. Palił go w ucho i łeb rozwalil... Pan go za to wygonił ze dworu i teraz Gudź włóczy się bez służby, przepija ostatnią koszulę i grozi, że z panem będzie to, co z wołem.

Pewnego razu wpadł do Andrzeja.

— Łowisz rybki, „panie dobrodzieju“? — powiatał go pijackim śmiechem. — Łów, łów, może się udławia ci, co je żra. Fabrykant!... Myśli, że dla niego fabrykę zbudują. Akurat — diabła rogatego się doczekasz!... Sowy i wrony będą tam mieszkały, póki się nie zawali, do licha ciężkiego. Powiedz — oddasz Hafijkę do służby? Nie? Wolisz z głodu zdychać jak ruda mysz w zimie? No, zdychaj, niech cię diabli porwą z całym twoim rodem, co mi do tego? Znajdziemy inną!...

Rozgniewał się, trzasnął drzwiami i wyszedł z chaty, ale po chwili znowu wsunął w drzwi czerwoną i zaciętą twarz.

— Hej, wy tam, fabrykanty! Pamiętajcie jeden z drugim, że jeszcze przyjdzie koza do woza i powie „me“... A Gudź figę pokaże... o!

Andrzej nie wytrzymał.

— Ach ty, pijanico, łupiskóro ty koci, a co cię to obchodzi? — wrzasnął rzucając się ku drzwiom, ale Małanka powstrzymała go.

— Daj spokój! — wrzasnęła dzikim głosem i zwróciła ku niemu zielone, pełne złośliwej radości oczy.

— Nie rusz, bo skaleczy! Jakże wtedy do fabryki pójdziesz?

— Do fabryki?

— A chyba...

— Do fabryki, mówisz?

— A toż słyszałeś... Zbudują dla ciebie...

Cedziła słowa jak truciznę...

Andrzeja złość aż dusiła.

— Świerzbi cię, chorobo? Niech świerzbi, póki cię nie podrapię. Powiedz lepiej, czyś obsiała swoje pola? Dużo ci namierzyl? Gdzież ci panowie, których po łapach lizalaś?

— Gdzie mają być? Fabrykę ci budują...

— Ty znowu swoje?

Andrzej zbil Małankę. Leżała na ławie i głośno jęczała, a on błdził po obnażonych, szarych łańach, obojętnie, bez celu, byle dalej być od domu.

Hafijka płakała. Wolałaby już iść na służbę.

* * *

Na Pokrowę wrócił Prokop. Chodziły pogłoski, że mu się nie poszczęściło. Najpierw nie mógł najać się, bo ludzi naschodziło się więcej niż potrzeba i płace spadły; później zasłabł w Kachówce i przeleżał cały miesiąc; w końcu udał się do Taurydy, a dalej znalazł się aż w Czarnomorzu. Wrócił obdarty, chorzy i bez grosza. Małanka nie bardzo wierzyła tym pogłoskom. Czego bo ludzie nie zmyślą! Po kryjomu przed swoimi poszła do Kandziubinej, niby to w interesie. Okazało się, że prawda. Prokop błądy, aż szerniały, wiatr go przewraca; wciąż się wyleguje. Stara Kandziubina mało nie płacze opowiadając, że ledwie-ledwie obrała syna z wszy. Gdzież mu się tam żenić! Myślało się, że chociaż zarobi na wesele, a tymczasem taki trafił się rok, że nawet chleba nie będzie.

Małanka wróciła do domu markotna i przed nikim się nie pochwaliła, co widziała i słyszała. Niech tam już przyschnie to na niej samej jak na psie.

* * *

Im bliżej do adwentu, tym bardziej wzrastał niepokój Małanki. Nie dawała spokoju i Hafijce. Opanowała ją całkowicie duch porządkowania, upiększania — i krzątała się całymi dniami: dwa razy przybielała chatę ode dworu i wewnątrz, co dzień przybielała komin i odświeżała czerwoną gliną obwódkę u przypiecka.

Hafijka musiała ponawycinać z papieru świeżych kozaków i kwiatków oraz oblepić tym ściany od obrazów świętych aż do drzwi. Skrzydła gołąbków, huśtających się przed obrazami na nitce, zamieniła na nowe, jeszcze jaskrawsze, a na kupno pod obrazy kawałka tapety z czerwonymi różami poszły wszystkie co do jednego uzbierane jajka.

— Czego chodzisz czarna! — grzmiała Małanka na Hafijkę i zmuszała ją omal że nie co dzień do zmieniania koszuli; sama ją czesała i wplatała nowe wstążki w warkocze. W jesienne wieczory wcześniej zapalała światło, stroiła się jakby w święto i siedząc w swojej czyściutkiej izdebce, często spoglądała na drzwi, z niepokojem nasłuchując szczekania psów i wrzuszona, jakby w oczekiwaniu czegoś.

Czasem we dnie, porzuciwszy robotę, wysuwała z kąta skrzynię Hafijki: przeglądała jej ubogie rzeczy, rozwijała wyszywane ręczniki i przenosiła zamysłone spojrzenie na córkę. Potem poprawiała dziewczynie korale, obciągała jej koszulę, układała fałdy spódnicy i żałośnie kiwała głową, stracając ukradkiem łzy.

Ale czego nie mogła obojętnie słuchać, to dźwięków bębna. Gdy tylko z odległego zakątka wsi, pod pochmurnym niebem jesiennym rozlegało się głuche dudnienie, wyskakiwała na dwór, przysłuchiwała się, jakby pragnęła odgadnąć, u kogo wyprawiają wesele, a takie okazywała zaciekawienie, kto i z kim ma się żenić, jakby sama miała nadzieję wkrótce wyjść za mąż. Żyła w ustawicznym podniece-

niu, ruchy jej zrobiły się żywe, nerwowe, a małe czarne oczy pobłyskiwały niespokojnie.

A bęben huczał. Począwszy od połowy tygodnia panny młode chodziły po wsi z rozpuszczonymi war-koczami i kłaniały się w pas, zapraszając na wesele, albo znów miesił błocisko weselny orszak, napełniając zimne powietrze śpiewami. Małanka w samej koszuli wyskakiwała na próg chaty, podierała głowę dłońmi i żałośnie spoglądała za orszakiem weselnym; ziębła, a nie czuła tego. Niewymownie była rozdrażniona.

Każdy zaręczony parobek, każda dziewczyna, która dała zgodę na zaręczyny, tracili w jej oczach wszelką wartość, nie zasługiwali na dobre słowo.

— Ożenił się, wziął sobie skarb! — syczała z krzywym uśmiechem. — Będzie karmił cudze dzieci i żonę — niechluja... Nikt chyba nie wie o tym, że ona i do pieczenia chleba niezdatna, tylko do chłopów aż piszczy.

— Zawiązała sobie świat z tym ladaco... Gęga, a nie mówi, dziobaty, a jeszcze i złodziej: ukradł zeszłego roku worek żyta z klepiska...

Natomiast spotykając kobiety, które miały dorosłych synów, stawała się słodka i chwaliła się córką: „dzięki bogu, takie to robotne, takie dobre, pokorne jak cielątko“.

Czas włókł się.

Co wieczór wysiadywały obie z Hafijką w przybranej jak na wielkanoc izbie, ubrane czysto, niby spodziewając się drogiego gościa, którego kroków tylko słuchać — jak zatupią przed chatą, spłoszą psy — i gość uchyli drzwi. Małanka miała nawet schowaną w komórce pod starymi rupieciami butelkę wódki, o czym nikt, prócz niej samej, nie wiedział.

A dokoła rozbrzmiewała muzyka, dudniły bębny i pijane śpiewy płoszyły ciszę nocną. Nikt się nie zjawiał. Krzywe ściany izdebki mrugały w kątach zmar-

szczkami-cieniami, papierowi kozacy, wzięwszy się pod boki, stali rzędem i w milczeniu patrzyli na mdłe światło lampki, przystrojone zaś gołabki obracały się przed obrazami, przesuając długie cienie skrzydeł po niskim suficie, Męczący niepokój wyrastał w duszy Małanki, jakby drzewo z ziarnka. Czyżby nie przyszli? Czyżby nikt nie przysłał swatów? Przebierała w pamięci po kolei wszystkich chłopców we wsi — i bogatych, i średnich, i nawet biednych, chociaż dłużej zatrzymywała się na bogatych. Rozważała, przebiegała w myślach i wciąż wyczekiwała. Czasami myślała, że Hafijka sama winna.

— Ej, ty niezdaro! — hukała na nią, gdy dziewczyna niechcący puszczała z rąk wrzeczono lub gdy o coś zawadzała po drodze. — Co z ciebie za gospodyni będzie, kiedy ani stąpać, ani jak się należy nie zrobić nie umiesz? — Skaranie boskie z tą dziewczyną! — gniewała się kiedy indziej. — Jakżeś głowę uczesała? Kto cię weźmie, takiego niedbalucha? Czego milczysz? Mówić nie umiesz?... Zobaczycie... — ona i szczęście swoje tak przemilczy... Wszystko nie tak jak u ludzi...

Ale dojrawszy lzy w oczach Hafijki, milkła, żal przepelniał jej serce i ulatywał w ciężkim westchnieniu... Już wiedziała, jaki los czyhał na jej dziecko. Nie ma rady — pójdzie za matką... Oj, pójdzie!

Z pochyloną głową, ciężką od gorzkich rozmyślań, przysłuchiwała się ostatnim dźwiękom cichnącej we wsi weselnej muzyki, a wraz z nimi znikaly jej ostatnie nadzieje...

* * *

Padają deszcze. Zimne mgły jesienne kłębią się w górze i spuszczają na ziemię mokre warkocze. Płynię w niewiadome szare przepaście udręka, płynie roz-

pacz i z cicha lka smutek, Płaczą nagie drzewa, płaczą słomiane strzechy, obmywa się łzami uboga ziemia i nie wie, kiedy się uśmiechnie. Szare dni po ciemnych nocach. Gdzie niebo? Gdzie słońce? Miliardy drobnych kropelek, jak zgasłe nadzieje, które wzniosły się za wysoko, spadają na dół i zmieszane z ziemią, płyną brudnymi strumykami. Nie ma przestworu, nie ma pocieszenia. Czarne myśli, strapienia serdeczne kołują tuż nad głową, zwisają chmurami, toczą się tumanami mgły — i człowiek słyszy wokół siebie cichy szloch, jakby nad nieboszczykiem.

Małeńkie, szare, zapłakane okienko. Przez nie Andrzeż i Małanka widzą, jak po brudnej rozmięklej drodze idą ludzie w świat na zarobki. Idą, wciąż idą — czarni, zgarbieni, przemokli, nieszczęśliwi jak żurawie-kaleki, które się od swojego klucza odbiły jak ten jesienny deszcz. Idą i znikają w szarzyźnie niewiadomej dali.

Ciemno w izdebce. Cedzi się mrok przez małeńkie okienka, posepnieją wilgotne kąty, tłoczy niski pułap i w utrapieniu płacze serce. Z owym ruchem bez końca, z owym nieustającym spadaniem drobnych kropel płyną też wspomnienia. Jak te krople, tak spadły i zginęły w błocie dni żywota, młode siły, młode nadzieje. Wszystko poszło na innych, na silniejszych, na szczęśliwych, jak gdyby tak właśnie być powinno...

Jak gdyby tak właśnie być powinno...
A deszcz pada... Na kształt garbatych cieniów siedzą w półmroku izby starzy, jakby rozstrzygali rzucone przez Gudzia zagadnienie: czy przyjdzie koza do woza?

Chyba przyjdzie...

Czernihów, 12. I. 1903 r.

CZEŚĆ DRUGA

Zwały wielkie śniegi — i Andrzej rad odgarnia ścieżkę od progu do furtki. Przecież to jednak też robota, a i człowiek nie musi zresztą wiecznie sterczeć w chacie, gdzie głód świeci pustym okiem i nędza tłucze się po wilgotnych łąkach. Bo to, panie dobrodzieju, najpodlejsze czasy nastaly: i rad by człowiek zarobić, to nie ma gdzie. Nie wiadomo, jak tu zimę przeżyć. Małanka czarna, zeszcła się na szczapę, tylko okiem piecze i kole, a kaszle po izbie, aż szyby brzęczą. Masz, Małasiu, pamiątkę po weselu. A jakże... Jak brał panicz Lolo — ten z sąsiedniego folwarku — córkę naszego dziedzica za żonę, stara wprost wariowała: czym ich spotkam, jak od ślubu będą jechali — jęczmiennym chlebem? Służyła u nich, w jej oczach panicz przecież wyrósł... Biegała po wsi, zmokła, zmarzła do szpiku kości, dopóki gdzieś nie wyprosiła pszennego placka. Podobno u kowalichy. Prawda, panicz Lolo dał dwa złote, ale jeden poszedł dla baby Marianny, bo jak Małankę kolki sparły, to mało dusza z niej nie uciekła. A teraz — masz! Kaszłaj, kochanie... Łaskę pańską z piersi wyrzucaj...

Andrzej rozprostował grzbiet i zatknął łopate. Zgrzał się, aż buchała zeń para jak z komina, brwi i wąsy jego stały się mleczone.

Wieś była do połowy zasypana śniegiem. Niziućkie chatki osiadły pod błękitną banią nieba, jak gdyby

baby w zapaskach pokłękały w cerkwi; po polu za kołowrotem wzrok miękko biegł śniegami aż do widnokręgu i nie miał się na czym zatrzymać.

Andrzej wziął się za łopatę i znowu pojmał zgubioną myśl. Bo on tak sobie miarkuje: jak człowiekowi pójdzie od jakiegoś dnia, tak mu już i dalej idzie... Stara powiada, że wiedziała, a on nie spodziewał się nawet. Skądże znowu! Żeby to gospodarski syn, a miał brać biedną? Żeby Prokop przysłał swatów do Hafijki? No cóż, tak właśnie było. Boże narodzenie z chaty, a starostowie do chaty, ale skończyło się na niczym. Zacięła się dziewczyna i ani rusz. Dla niego to nic, ale Małanka ma zmartwienie wielkie. Nie spała, ale śniła, że widzi córkę za gospodarskim synem, że pole orzą, w ogrodzie sadzą... Cha-cha, obejdz się smakiem, Małasiu... Dziewczyna nie chce... Ej, czy czasem nie Marko jej w głowie? Może już nawet kosteczki jego zgniły, może zmarło mu się gdzie w więzieniu... Dziewczyna była jak jagódka, a zrobiła się niby mniszka. Schudła, milczy i do ojca ma żal... A cóż on winien? Czyż to on wpakował Huszczę do więzienia? Bo że, panie dobrodzieju, buntownik był z niego, to jest przecież prawda: wiedzieli co z nim zrobić...

Oho, już się zmęczył. Zesłał całkiem przez tę zimę. Latem jeszcze niezgorzej: buraczki, cebulka, rybek się ułowi...

No, Prokop nie miał czego czekać. Poszedł do innej. Tak-tak... Małanka aż płakała ze złości...

— O, fabrykant! Patrzcie, jak to się stara, żeby żonka nóżek nie zamoczyła, choroba... Jakże się miewasz!

— Fu!... Bodaj was, Chomo, jakżeście mię przestraszyli... Daj boże... Wiecie, takim teraz lękliwy, że duszę mam wciąż na ramieniu.

— Albo ty masz duszę? Et, zajęczego ty masz ducha...

Choma kpi w żywe oczy. W zmarszczkach starej bezwasej twarzy głęboko zaległa złość.

Andrzej przyzwyczajony już do tego. Wie, że Gudzia, odkąd pan go wygnał, jeszcze gorzej bieda żre; mówi jednak:

— Wam dobrze, Chomo: samiście, a u mnie troje gąb w chacie.

— Cha-cha... Mnie? A dobrze; bodajby on takie lekkie miał skonanie jak ja życie... Stawiaj piwo, powiem nowinę.

— Ale-ale! Już zapomniałem, jak smakuje... O fabryce? E, dużoście już opowiadali...

— Nie wierzysz? Panicz Lolo stawia gorzelnię.

— Ale!

— Nie ale, a naprawdę! Ze starej cukrowni zrobią gorzelnię, jeszcze i dom dla siebie zbuduje Lolo, ażeby tak pękł tobie na uciechę.

— Ale co wy mówicie? Jak, co, skąd?

— Nie wierzy, diabelskie ziele... Ciskaj łopatę, idziemy...

— Dokąd?

— Nie pytaj, a chodźmy.

Andrzej obracał łopatę w rękach i z niedowierzaniem patrzył na Gudzia. Wreszcie wbił ją w śnieg i już był za bramą.

— Po coś łopatę zostawił, jeszcze kto ściągnie, ty! — usłyszał za sobą głos Małanki, lecz nawet nie obejrzał się.

Brnął w śniegu, podążając za Chomą. Choma stawał nogi twardo, ze złością, w taki sam sposób jak mówił, a śnieg rozrzucał, kieby koń. Andrzej głośno sapał, oczy biegły mu kędyś naprzód ku murowanym ścianom, które już, zdawało się, drżały od żywego ruchu pracy, już buchały z kominów dymem.

„Tym razem Choma nie kpi“ — łomotało Andrzejowi serce.

Szli przez wieś bezludną, zasypaną śniegiem, ni-
by przez knieję, którą chciało się prędzej przebyć, aby
ujrzeć wolną przestrzeń.

Gdy wreszcie na pagórku zaczerniały przed nimi
zwaliska cukrowni, Andrzej na mgnienie wyraźnie
ujrzał dymy, posłyszał znajomy gwar. Prawda, dymy
natychmiast znikły, za to koło cukrowni roiła się gro-
mada ludzi i czerniały furmanki.

— Dokąd pędzisz? Zdażysz...

Andrzej odmachnął ręką. E, co mu tam teraz Cho-
ma!... Widział już tabor sań z balami, belkami, pełne
kosze czerwonej cegły niby niecki jagód, wlochate
konie spowite we własną parę, zgarbione plecy,
wzniesione bicze...

— Nużel!... Wio!... Wišta!

Na dziedzińcu stał rządcą i wśród krzyku
i zgiewku przyjmował materiał.

Andrzej biegał od sań do sań, obmacywał drzewo,
stukał po ceglach, zaglądał każdemu w oczy, jakby
zapytując, czy to rzeczywistość.

Przed rządcą zdjął czapkę i długo stał w milcze-
niu.

Podszedł do Chomy i uśmiechnął się.

— Będzie?

— A będzie...

— Gorzelnia?

— Toć mówiłem.

Wyblakłe, zielonkawe oczy Andrzeja błyszczwały
jak lód topniejący na śniegu. Pieściły wzrokiem czar-
ne, okopcone mury cukrowni, okrągłe żółte bale na
białym śniegu, śmiały się do stosów cegły, do siwej
od mrozu brody rządcy. Teraz, panie dobrodzieju,
to już puszczą parę... Nie będzie człowiek z głodu zdy-
chał, wiadoma rzecz... Przyjdzie termin — zabieraj

gotowe pieniądze! Tak, tak, Małasiu, masz teraz „fabrykanta“...

— Co, Chomo, będzie? A widzisz, a widzisz...

Ale z oczu Chomy syczały na Andrzeja zielone źmijki.

— Czegoż tak się cieszysz? Myślisz, że gorzałkę będą pędzić? Krew z ciebie popędzą, a nie gorzałkę. Chleba ci się zachciało? A garbu nie łaska? No, no — uważaj: jednemu brzuch narośnie aż powyżej nosa, a z ciebie żyły będą ciągnąć, bodajby to zmarniało...

— Czekajcie, Chomo...

— ... bodajby się to ogniem zajęło i z popiołem rozwiało razem z ludzką krzywdą...

— Ale czekajcież, Chomo...

— Czego mam czekać? Ty myślisz, że to gorzelnia! Grób ci szykują... Cztery deski i dół. I basta.

— O, jacyście wy, Chomo...

Lecz Gudzia niesposób było pohamować. Gnał, jakby z górki.

— O, wziąłbym r-raz-r-raz — rozwalilibym, do starego diabła, z ziemią bym zrównał, żeby i pamięć o tym przepadła na wieki wieczne.

Choma wywijał rękami i tupał nogą. Na bezwłosej twarzy skakała mu każda zmarszczka i widać było, jak pod starą świtką kurczy mu się ciało niczym sprężyna.

Andrzej z przestraczem patrzył na Gudzia. Nawet języka zapomniał w gębie.

Co się z Chomą stało? I co mówi? Trzeba przecież z czegoś żyć... Czy to lepiej tym, co mordują się na skrawku ziemi i nieraz nawet nasion nie zbiorą? Albo temu, kto zakopuje siły w pańskim polu, a jak przyjdzie choroba, kalectwo lub starość, to zdechnie pod płótem jak pies? I co też Choma wygaduje, boże święty...

Lecz Chomę po trochu gniew odchodził. Złość i przekleństwa rozsypały się raptem w ochryply, przeziębiony śmiech.

— Cha-cha! No, zafundujesz piwa? Musisz poczęstować! Jazda do Mendla!

Andrzej uśmiechnął się zawstydzony. Dlaczegożby nie? Oj, jakby się chętnie sam z radości napił piwa, ale...

— Wierzcie mi, Chomo...

— No, no... nie masz? Pal cię lichu... Także „fabrykant“. Idę...

Andrzej patrzył za odchodzącym Chomą, lecz wprawdzie nim znikła jego pochyła postać, już ucichło syczenie zielonych żmijek, zgasły pałace słowa i jedno tylko dźwięczało w piersi Andrzeja: gorzelnia!

Chciał jeszcze raz usłyszeć to słowo. Stał przed rządą i miał czapkę w ręku.

— Gorzelnia będzie?

— Gorzelnia.

Tak. Teraz już z pewnością. Doznał uczucia dumy, samouznania, jak gdyby to nie panicz Lolo, ale on sam miał ożywić martwe mury cukrowni, puścić w ruch koła, pasy, maszyny i siłę ludzką.

Wieś, rolnicy, ziemia...

Jakie to wszystko nędzne, marne!

Krety! Pozalazili na zimę w białe nory, a gdy przyjdzie wiosna, poczną ziemię męczyć, pierś jej krajać. Dawaj, ziemio, pokarm!

A ziemia stęka czcza, bezsilna, na strzępy podarta. I zamiast pokarmu daje swoją krew. Nie chleb rodzi, ale kakole, osty, zielsko. I żyj, człowiecze!

A tymczasem głodnych przybywa, mnożą się, wiążą jak pocięta na sztuki gadzina.

Napleniło się tego! Żebyż to choć bóg miłosierny przetrzebił was wojną albo morem jakim. Możeby lżej było na świecie...

No, a jemu zresztą co do tego? On ziemi nie ma!
Gorzelnia da mu chleb... Choma głupstwa plecie.

I tyś się, Małasiu, niepotrzebnie śmiała. Powie-
dział Andrzej Wołyk: będzie gorzelnia — i będzie!

* * *

Hafijka weszła do chaty i przytuliła do pieca
zziębnięte ręce.

— Zapomniałam, że piec zimny — uśmiechnęła
się wstydliwie.

Małanka zwróciła na nią czerwone oczy.

— Z kim rozmawiałeś w sieni?

— Prokop przychodził.

— Prokop?

Odkąd się Prokop ożenił, Małanka nie mogła sły-
szuć jego imienia.

— Czego mu potrzeba?

— Do mnie przychodził.

— Do ciebie? Po co?

— Książki przynosił.

— Niech swojej żonie nosi, nie tobie...

Chciała ukłuć córkę spojrzeniem, ale nie udało się.
Łza nabiegła, zapiekła — trzeba było oczy schować
w pięści.

Oczy Małanki już same płaczą. Tyle łez wylało
się z nich jesienią i w zimie, że się już do tego przy-
zwyczaiła. Bo głód, ślota i niepogoda nastąpiły nie tyl-
ko w przyrodzie, ale i w jej sercu. Odleciały nadzieje,
rozpierzchły się bez śladu i teraz pusto tam jak w le-
sie. Śnieg teraz w sercu i wilki w nim wyją. Pan bóg
nie chciał okazać swojej sprawiedliwości: ziemia jak
była, tak i została pańską. Nadaremnie Małanka zbie-
rała nasiona, nadaremnie chowała w sercu nadzieje.
Węzółki z ziarnem tak długo wisiały w chacie pod
obrazami, że aż się na nie patrzeć uprzykrzyło.

Wreszcie pozdejnowała je i wyniosła do komory. Dość tego łudzenia się. „Po co zdejmujesz? Przyjdzie wiosna — to w polu zasiejesz!” Tak ją Andrzej dopiekl do żywego.

Na samo wspomnienie tego cienkie wargi Małanki skurczyły się z bólu.

Jest ich troje, a wszystkim sądzony los jednaki. Chłód, głód — i żadnych widoków. Całymi dniami siedzieli w nieopalanej izbie i nic nie gotowali. Świecili nienawistnymi oczyma, żarli się zgryźliwymi słowy. Jak dzikie zwierzęta. Aby nie zmarznąć, Andrzej po nocach ścinał ukradkiem wierzby na gościńcu lub powoli rozbierał strzechy na pustych domach sąsiedzkich. Gdyby nie sumienie — to poszedłby kraść. Później napadło kłucie w piersiach, przyplątał się kaszel. Wnętrznosci wywracało, nikomu spać po nocach nie dawał. Dokoła pusto, smutno, Hafijka chodzi jak mniszka. Milczy, nie odzywa się. Czyż Małanka nie wie i tak?...

— Widzisz go, książki przynosi... Gdybyś poszła za niego, czytaliście razem.

— Dajcie spokój, mamó.

— Na kogo czekasz? Na Huszcze? Widzisz, jaka u nas bieda. Ojciec niewiele zarobi, jam słaba, szcherniałam od roboty — i co z tego? A Prokop...

Ach, jak to nudno, jak nudno słyszeć ciągle jedno i to samo!...

— Nie trapiecie się, mamó. Pójdę na służbę.

Małanka ugryzła się w język.

— Do dworu się zgodzę. Albo do Pidpary; mówią, że szuka dziewczyny.

Oczy Małanki stały się przełknięte, okrągłe. Mignęło przed nimi coś dawnego, na wpół zapomnianego. Podniosła ręce, jak gdyby chciała odpędzić marę.

— Milcz już lepiej.

— Jak mi bóg miły...

Raptem Małanka zmięкла. Co się tam martwić, kiedy wszystko idzie ku lepszemu. O, przemęczą ją-koś zimę, a wiosna już nie za górami. Andrzej na pewno zgodzi się do pana, ludzie zaczną kopać w ogrodach — będzie zarobek.

Głos Małanki stawał się cieplejszy, jakby nagrzewał się na słońcu, powoli zachodzącym tuż przed chatą. Złoty jego krąg zrobił z okna ołtarz, komin czerwienił się żarem, jakby się w piecu paliło, rozmowa płynęła miękko jak ostatnie promienie i powoli gasła w cieniach wieczora. Do Hafijki tylko czasem dolatywały oddzielne słowa. Ten miękki ton budził w niej wspomnienia, nasuwał myśli.

„Gdybym wiedziała dokąd, poszłabym pieszo do niego. Niechby nie myślał, że się go wyrzekłam. Powiedziałabym: Marku, nie zapomniałam twojej nauki: rzuciłeś słowo, a z niego wyrosło dziesięć. Zamknęli cię za kratami, ale twoje słowo chodzi po świecie...”

— ...przyjdą żniwa, będziemy żęli, zarobimy na chleb, a jesienią...

„Kto kocha wiernie, ten chciałby świat cały zasiać słowami ukochanego... Znęcają się nad tobą, a ja czyż mało męki zaznałam? Patrz, co się ze mnie zrobiło. Co dzień martwię się o ciebie, co dzień myśl moja wokół ciebie się obraca...”

— ...wyjdiesz za kogoś.. jeszcze twój los w boskiej mocy...

„Czekam cię i wyglądam. Jak nie za ciebie, to za nikogo. Tyle mojej pociechy, że rozmawiam z tobą, chociaż ty nie słyszysz.”

Okno powoli gasło.

Słońce zbliżało się ku wieczorowi, ziemia układała się do snu. Błękitne cienie rozwierały swą głębię, przy-

mowały jak miękkie łoże rozmyślania Hafijki, nadzieje Małanki...

* * *

Małanka nie chciała wierzyć. E, znowu Gudź napłół. Andrzej aż się mienił z gniewu. Widział sam na własne oczy. Nie tylko Choma, ale i rządca mówił. Wąsy stały się jeszcze bielsze na czerwonej twarzy, a oczy mu na wierzch wylażyły. Małanka wzruszała ramionami, włożyła jednak kożuszek i pobiegła do dworu. Teraz to jest jej sprawa. Panicz Lolo musi przyjąć Andrzeja; przecież ona u nich służyła, pracowała dla nich. Małanka długo kaszłała w kuchni, aż nareszcie panicz Lolo wyszedł. No, panicz, jak panicz! Podrwił trochę ze starej, ale Andrzeja przyjął. Na pomocnika rządcy.

Była to wielka radość. Teraz już co dzień palił się w piecu wesoły ogień, smacznie pachniało barszczem lub kluskami, a gdy Andrzej o zmierzchu wracał do chaty, rumiany od wiatru, z technieniem mrozu we wszystkich fałdach odzieży, Małanka starała się dogodzić mu, a godność gospodyni przeglądała ze wszystkich jej ruchów.

Po wieczery Andrzej przysuwał się do pieca i wyjmował fajkę. Czerwony żar migał doń sinawym okiem, strzelał gwiazdkami i owijał się wreszcie na noc kożuchem szarego popiołu. Hafijka stukiała łyżkami i chlupała wodą do zmywania, a Małanka z założonymi rękoma słuchała pobożnie opowiadania, ile to przywieziono cegły, jakie drzewo zabrakowano i dlaczego, że rządca nie zna się na niczym i że gdyby nie Andrzej, to by nie szła robota.

Z nastaniem wiosny, gdy roboty rozpoczęły się na dobre, rozmowy stawały się barwniejsze i rozrastały się. Andrzej żył jak w gorączce. Zdawało mu się, że wszystko posuwa się bardzo powoli, że budowaniu

nie widać końca. Jego to była gorzelnia, to on ją stawał — i nawet Małanka, przejęta jego zapalem, często biegła popatrzeć, jak postępowały roboty. Zapomniała nawet marzeń o ziemi i żyła jednym życiem z Andrzejem.

Wreszcie pewnego dnia, jakoś po zielonych świętach wysoki komin gorzelnii wyzionął kłęby dymu i z dawnych zwalisk cukrowni rozlecił się ponad wsią gwizdek.

Andrzej zerwał się z miejsca. Pochylił się naprzód, wyciągnął szyję i łowił uchem ten zew „maszyny“, jakby się bał, że opuści z niego chociażby jedno drgnienie.

Potem odwrócił się do żony, cały rozpromieniony, z czołem uperlonym w jednej chwili potem.

— Słyszysz, Małanko?

Małanka słyszała.

— To ci nie grunta, co to niby mają je dzielić... To ci, panie dobrodzieju, nie żarty, ale gorzelnia...

Małanka westchnęła. Spojrzała tylko na swe czarne i suche ręce żebrzące pracy innej i poczuła, jak jej marzenia upadły głęboko, aż na dno serca.

Tego samego wieczora Andrzej poszedł na nocną zmianę.

* * *

Choć od mięsopustnej niedzieli, kiedy to ożenił się Prokop, niewiele czasu upłynęło, Hafijce wydawało się, że Prokop jakoś wyrósł i nawet postarzał. Stał przed nią i mówił, ona zaś patrzyła na jego szerokie bary, spokojną twarz, na której jakoś niespodzianie urosła broda i osiadła powaga mężczyzny. Zdawało się jej, że jego szare, trochę zimne oczy patrzą nie tyle na nią, ile w głąb samego siebie — i dlatego słowa jego mocne były i pełne, jakby dobre ziarno. Ona też słyszała, że bogacze srożą się na niego.

— Najwięcej złości się na mnie Pidpara. W niedzielę krzyczał na wiecu: „Takich jak Kandziuba trzeba na Sybir! Gazety sprowadza, hołocie książki czyta, ludzi buntuje, papierki rozrzuca.“ A sam, jak spotka, zaraz pyta: „A co tam słycać? Co nowego piszą o wojnie?“ Matka też narzeka: „Światło wypalacie, a to drogo kosztuje“.

— No, a Maria?

Prokop spojrział na nią badawczym okiem. Hafijka była jędrna, opalona na słońcu, z delikatnym puszkiem na rękach i nogach, jak złota pszczołka. Spuściła oczy i z zajęciem chwyciła słomkę między dwa palce nogi.

— Maria? No cóż, kobieta jak to kobieta. Jej aby z ludźmi, aby posłuchać i swoje dorzucić. Nie tak się złożyło, jak myślałem. Towarzysza by mi trzeba, ale tyś nie chciała.

Żdźbło nie dawało się chwytać, wciąż uciekało spod palców.

— Daj spokój, Prokopie, dość już o tym.

— Ależ nic nie mówię. Nie woła się żalu, sam przychodzi. Wciąż czekasz na Huszcę?

Hafijka podniosła na Prokopa oczy.

— Marko śnił mi się tej nocy.

— Aha, o mało nie zapomniałem. Spotkał mię rano stryjek Panas: „Przyjdę do was, powiada, posłuchać o czym tam mędrkujecie“.

— Śniło mi się, że dopiero co skończyłam roznosić ulotki i już ostatnią wyjmuję, aby ją włożyć Piotrowi do stodółki, gdy raptem ktoś mię pac po rękę. Zdrętwiałam cała. Patrzę — Marko. Taki zły. „Ja, powiada, za was w więzieniu siedzę, a ty tak słowa moje siejesz? Pokaż ręce!“ A mnie wstyd ogarnia, boję się, bo ręcę próżne, nie śmiem oczu podnieść, nie śmiem rąk pokazać. Chciałabym powiedzieć, pochwalić się przed nim, a głosu z gardła dobyć nie mogę...

Słuchaj, Prokopie, kiedy mi dasz jeszcze nowe ulotki? Już więcej nie mam.

— Ja też nie mam. W tym tygodniu pójdę do miasta, to przyniosę. A ty zagładał do nas czasem.

Prokop obejmował Hafijkę wzrokiem. Jędrna, silna, zdrowa, czysta — lśniła na słońcu jak dobra rola, jak pełny kłos, a oczy miała głębokie i ciemne, by dno studni.

Te oczy czarowały go. Prokop westchnął.

Ale wzdychać, czy nie wzdychać — już się nie odmieni.

Chciał przynajmniej słowem ulżyć duszy, jak chmura, co wylać chce swój ciężar — i mówi... Bo co znaczy własny ból? — Drobiazg. Wielkie jest nieszczęście świata. Napatrzył się na nie. I w domu, i między ludźmi. Wszędzie biedak na spodzie — bogaty na wierzchu. Na dole lzy — na górze szyderstwo. Ludzie w prochu jak ten chwast przydrożny, zdeptani przez silnych, bogatych. I nie ma komu krzyknąć: powstańcie, ludzie, wyciągnijcie ręce po swoją prawdę. Gdy człowiek sam nie weźmie, nikt nie da. Widać, jeszcze się ten nie urodził, którego usłyszą. Trzeba mieć wielki głos. A cóż my możemy? I gdzie nasz głos? Tylko szeptem powie jeden drugiemu: wstawaj, Iwanie, przemyj oczy; rusz się, Piotrze, będzie nas więcej... Gdybyż można było przemóc się, aby to zrobić, aby kilku rozbudzić, a oni by już z kolei innych... Każdemu krzywda w serce się wżarła — tylko dotknąć rany, a zaboli.

Coś cichego, pokornego było w tych skargach, jakby smutno szemrał strumyk po drobnym żwirze.

Nie, Marko nie taki. On, jak burzliwy potok, rwałby kamienie, szarpał brzegi, wywracałby drzewa z korzeniami. Jego słuchaliby wszyscy.

* * *

Teraz dla Małanki nastały lepsze czasy.

Andrzej miał robotę i chociaż niecały zarobek przynosił do domu, jednak głodem już nie przymierali. Widywała go rzadko, gdyż pracował na nocnej zmianie, a w dzień spał lub gdzieś wałęsał się z Chomą. Małanka z Hafijką też chodziły na zarobek, i dni szybko im biegly na cudzym polu.

Jednak Małanka nie miała spokoju. Na wiosnę znów ożyły pogłoski o ziemi, tak jakby wzeszły razem z trawą i razem z nią rozrastały się. Chociaż wraz z węzełkami nasion wyrzuciła Małanka precz swoje dawne nadzieje, jednak teraz one znów kołatały do jej serca. Z ust do ust, od chaty do chaty, od wsi do wsi toczyła się wieść radosna: ziemię podzielą! Kto powiedział pierwszy i kto ostatni — nikt nie pytał. Pogłoski płynęły jak chmury, same przez się, unosiły się w powietrzu jak pyłek kwiatów, w czasie gdy kwitną niwy.

- Słyszeliście? Ziemię będą dzielili.
- Obdarują ludzi. *Miną złe czasy.
- Ziemia już nasza. Niedługo już będą dzielić.
- Nawet panowie mówią: oddajmy ziemię.
- Panowie? Nie wierzcie.
- Ależ mówią. Naprawdę...
- Wiadomo — boją się.

Małance oczy błyszcząły.

A tu się sama ziemia odzywa.

Śmieje się łąka poranną rosą, dzwonieniem kos, śpiewają kłosa, wzywają ogrody błyszczącymi liśćmi, żyzna ziemia tchnie ciepłem, jak niegdyś piers matczyna.

A na zew ten odzew daje serce Małanki, odpowiadają suche i czarne ręce, które ziemi ofiarowały wszystkie swe siły, a w siebie jej siłę wchłonęły.

Nieraz podczas roboty stawała i wzrokiem ogarniała pola.

Ciągnęły się pola dołem, wspinały wzgórkami, pełne, świeże, obfite, ale cudze. Jak okiem sięgnąć, pola bez końca. A wszystkie one cudze — i to nawet nie ludzkie, a pańskie. Po co mu? Co z tym wszystkim zrobi?

Serce bolało patrzeć, a pole szeptało po cichu — pocieszało:

„Nie martw się... podziela... podziela...”

Myśli o ziemi budziły Małankę po nocach.

Nagle otwierała oczy, cała spotniała, niespokojna. Raptem wpadało jej do głowy, że to niemożliwe. Nigdy bogacz nie odda swego majątku chłopom. Ma pieniądze, siłę, a chłop co? Ręce i nogi. Nic z tego nie będzie — wszystko zostanie po dawnemu, biedak zawsze będzie marnował siły na cudzym, Małanka do samego grobu nie zazna lepszej doli, Hafijka straci urodę i młodość w służbie, szernieje, zwiędnie w pracy u innych, tak samo jak matka. Tyle tylko człowiek ziemi dostanie, ile łopata na pierś nagarna.

Małanka oblewała się zimnym potem, cała cierpła i zatapiała w mroku ostry wzrok, niby z zapytaniem: co będzie? Ale noc ciemna, ślepa i głucha umie tylko milczeć. A tymczasem na dnie duszy, kryjąc się przed zimną myślą, drgała inna, ciepła, słabiotka i dobra. Szeptala coś Małance i wiodła z sobą w pole.

Faluje w słońcu niwa, to posłanie boże — len przeziera modro, jakby się niebo w jeziorko zapatrzyło, a na łące — wóz. Hafijka karmi dziecko, a drugie koło Małanki woła: „babko!” I wszystko to — i żyzna niwa, i wóz, i konie, i rodzina — wszystko to swoje, bliskie, z sercem się zrosło. „Cóż to włożyłam dziś czerwone safiany, jakby w święto... patrzcie no — zakwitają na niwie jak mak...”

Z rana Małanka zaraz pyta pierwszego napotkałego.

— Nie wiecie: będą ziemię dzielili?

Nawet kowalową zaczepiła.

— Słyszeliście, moi drodzy, niezadługo ziemie mają dawać.

— A słyszałam, Małasiu, słyszałam. Ludzie ciągle tylko o tym mówią, tym tylko żyją, dyszą. Mój jeszcze tej zimy kupił u pana jedną dziesięcinę; dał zadatek, a reszty nie chce płacić. „Po co mam, powiada, pieniądze darmo wyrzucać? Ziemia i tak będzie moja. Niech mi tam przypadnie zadatek.“ Ale mnie i zadatku szkoda. Jak to? Za swoje jeszcze płacić? Ani kopiejki nie dam. Napadam na mojego, niech odbierze, a on nie chce. Co z woza spadło, to przypadło — mówi... Podzielał ziemię — podzielał. Wy dostaniecie więcej, bo gruntu nie macie. Niechby tylko sprawiedliwie podzielili, żeby się naród między sobą nie pobił...

— Oj, żebyż to dał miłosierny... Wiadomo, ludzie jak te psy boskie gryzą się. Dzięki za dobre słowo, niech wam pan bóg we wszystkim pomaga...

Małance serce tajało jak wosk. Nawet dziwiła się sobie, że często przemawiała się z kowalową.

* * *

Maria klasnęła w dłoń:

— Patrzcie: i stryjek Panas przyszli posłuchać!

— Czy nie wolno? Może tu się co złego mówi?

Niska, wykoślawiona postać zatrzymała się w progu, wstawiła do izby długi, nieostrugany kij i, podparta na nim, mrużyła oczy. Zdawało się, że to pień wierzby wyciągnął z ziemi korzenie i powłókł się między ludzi, krzepki, smagany niepogoda, owiany tchnieniem ziemi, z której wyrósł.

Stara Kandziubina wołała na niego.

— Zachodź, zachodź do chaty.

Wszyscy obrócili się do Panasa, a obcy człowiek zamilkł raptem, położył ręce na stole i zaczął mru-
gać oczyma.

Panas wciąż jeszcze rozglądał się po izbie.

— Coś się u was światło źle pali, nie mogę ludzi
rozpoznać...

Ale już rozpoznał. Obok Hafijki siedział Ołeksa
Bezyk, którego we wsi przezywano „Półtora Niesz-
częścia“. Dzieci miał jak maku i ani kawałka pola.
W kącie opierał się o ścianę wysoki Semen Mażuha,
z zapadłą piersią i długimi rękoma, podobny do
syczoryka. Żył tylko z tego, że koszlawa kobylą wozil
żydów na stację. Byli też: Iwan Korotkij i Iwan
Redka, Aleksander Dejneka i Sawa Hurczyn —
wszyscy albo bezrolni, albo tak mało mający gruntu,
że ich ziemia nie mogła wyżywić.

Wówczas Panas przestawił przez próg swoje
buciska, w których pewnie było więcej owijków niż
nóg, i usiadł obok Marii.

— A co za jeden ten czarniawy, co siedzi przy
stole?

— To chłop z Jamiszcz — odrzekła Maria i za-
chęcającym wzrokiem spojrzała na obcego.

— Mówcie dalej! — poprosiła.

Tamten przestał mrugać oczyma. Wszyscy zwró-
cili się w jego stronę.

— No i zebraliśmy się zaraz na placu — sołtys
z nami: tak a tak, piszcie uchwałę. Stańło na tym,
że nikt z nas nie będzie robił panu za dawną cenę.
Teraz pieszy robotnik ma dostawać rubla, a konny —
dwa. Dzień roboczy ma być krótszy o czwartą część...

— Oho!

— Cicho, niech mówi...

— ...żać za szósty, a nie za dwunasty snop, mło-
cić za ósmą, a nie za trzynastą miarę...

O, tak to dobrze! Głowy zakiwały się po kątach, a wysoki Mażuha na znak zgody składał się i otwierał jak scyzoryk.

— A jak pan nie przystanie?

Stara Kandziubina przecisnęła się przez tłum i ostrożnie przykręciła światło.

Właśnie: co będzie, jak pan nie przystanie?

Chłop z Jamiszcz pomilczał przez chwilę, spojrział dokoła i jakby wyrębał:

— A nie przystanie, to — strajk!

Maria załamała ręce.

— Strajk! Boże miłosierny!

Panas Kandziuba nagiął się w przód jak wierzba od wiatru.

— Strajk? A jakże to będzie?

— A tak. Pan woła kosić — dobrze, dawaj po rublu dziennie. Nie chcesz — koś sobie sam. Nikt do roboty nie idzie. Nastaly żniwa — dawaj, co my chcemy; nie zgadzasz się — wzuł sam postoly i jazda z sierpem w pole.

— Cha-cha! A to mądrze!

Śmiech potoczył się po wszystkich kątach izby. Całe rzędy chwiały się od niego. Śmiech jak gdyby kładł ludzi w pokosy. Pan w postolach! Cha-cha!

„Półtora Nieszczęścia“ aż się spocił na samą myśl o tym; jego łysina, zroszona potem, chwyciła i odrzucała blask lampy. Pan w postolach!

Chłop z Jamiszcz wciąż mówił.

Przed oczyma Panasa nieodstępnie stała śmieszna postać spasionego pana w postolach, sama wśród pola, niedołączna, bezradna. I nie lekka wesołość grała w sercu Panasa, ale stara chłopska nienawiść, która nareszcie znalazła swój wyraz.

Ozuć pana w postoly!

W słowie tym zawierał się cały obraz, cudowny plan, sprawiedliwość ludzka i boska.

Ozuć pana w postoi!...

Ale jak to zrobić?

Ba, jak to zrobić? Pan nie głupi. Nie pójdą
swoi chłopci, zawoła obcych. Pańskie zawsze góra.

Oczy zaiskrzyły się na samą myśl, że obcy mo-
gliby pójść na przekór gromadzie.

Wszyscy naraz zaczęli mówić.

Mażuha wznosił rękę jak dyszel.

— Obcych nie puszczają! Porozpędzać! Kołami!

Oho! Taki nie puści.

Maria klasnęła w dłonie.

— A pewnie! Jak nie posłucha, to tłuc.

Bo już innej rady nie ma: tak czy owak trzeba
zginać. — I w grobie gorzej nie będzie... — Naród wy-
głodniały, a nikt się nie zatroszczy, nikt jeść nie da...
— A nie da! Chcesz jeść — wodę pij... Biedę żryj —
wodą popijaj... Jeden używa, a drugi... Bieda starsza
od rozkoszy. — Ozuć pana w postoi!...

Jednak powoli wyobraźnia Panasa gasła, jakby
robak ją toczył. Ale — gdzie tam! Czy to tak łatwo
zmagać się z panem?

Pan nie chciał już wzuć postoiów, nie chciał żać
sam. Znów był wrogiem silnym a chytrym, z którym
trudno było walczyć, który wszystko przemoże. Le-
piej z daleka od pana i od pokuszenia. Czyż to jemu,
Panasowi, naczelnik ziemski nie wybił zęba?

Nikt Panasa nie słuchał.

Wtedy stary zaczął stukać kijem.

Czego ten stary chce?

Nie, pana nie przelękniecie. On ma siłę. Spędzi
całą wieś — i wszystkim raz przy razie skórę wy-
garbują. Teraz krzyczą, a potem co będzie? W gro-
madzie i bezzębny pies — zły. Zachciało się im
wziąć jeża gołą ręką. Nie weźmiecie, bo kole.

Stara gospodyni znowu przykręciła lampę. Kiedy
tam co jeszcze będzie, a tu nafta droga.

Iwan Korotkij chciał wiedzieć, czy wszyscy się podpisali.

We wrzawie chłop z Jamiszcz nie mógł słowa wymówić.

— Cicho, cicho, niech mówi...

— Pewnie, że nie wszyscy. Bogaci odmówili.

— Toście trafili! Czy pan, czy bogaty chłop — jeden diabeł.

— Ale przyłączyły się do nich wioski — Piaski, Bereza, Wesoły Bór.

— O! Słyszycie! Słyszycie, ile przystało do nich... Teraz na nas kolej. Trzymajmy się ich, a oni nas.

— Podpisać! Podpisać!

W izbie stawało się gorąco. Dym snuł się niskimi chmurami, a sine fale, zmieszane z krzykiem, wypadały przez otwarte okna.

Czy to zmusza ich kto pracować u pana? Nie chcesz, nie chodź. Niech zobaczy, że nie w majątku siła, ale w czarnych rękach. Powinni przystać. Wszyscy razem.

Panas Kandziuba szedł przeciw gromadzie.

A on nie zgadza się. To będzie bunt!

— Jaki bunt?

— A taki. Za to nie pochwała ich. Lepiej czekać podziału ziemi.

— Czekać!... Doczeka się tam człowiek.

— Niezadługo ziemię będą dzielić.

Maria klasnęła w dłonie.

Czyż ona nie mówiła!

Wzięli się do Panasa. Kto będzie dzielił? Może panowie?

Ale Panas mocno obstawał przy swoim. Twardy i szary jak grudka ziemi, ciężki w swoich buciskach. Wiedział tylko jedno:

— Ziemię podziela.

— Dobrze, dobrze, a tymczasem...

— To będzie bunt.

No, jeszcze wypędzić konie na pańskie pastwisko, po kryjomu wywieźć chojaka z lasu, zarzucić sieci w pańskim stawie; ale żeby cała wieś powstała przeciw panu, na to zgody nie ma. Wystarczy mu i ten jeden ząb wybity przez ekonoma.

— O, widzisz... o-o!

Rozdziawiał gębę i palcem, grubym i sztywnym jak sęk pokryty korą, wskazywał czarną dziurę w bladym dziąśle.

— Widzicie... o!

Dali sobie z nim spokój.

* * *

Wciąż grzmi i ruda chmura jak gdyby skrzydłem obejmuje niebo. Po wodzie skaczą bańki od kropel deszczu, rowami płyną potoki i podmywają siano. Przepadło siano! Małanka podkasala się, wchodzi do wody i nagle... budzi się, a Hafijka woła na nią z ciemności:

— Mamo! Ktoś stuka do okna.

— Okno? Co za okno?

Rzeczywiście, ktoś stuka.

Małanka złązi z ławy, maca po ścianie, a ktoś w okno wali.

— Co tam? Kto stuka?

Małanka otwiera okno.

— Idźcie do gorzelni! Nieszczęście: Andrzejowi rękę pokaleczyło.

— Nieszczęście... — powtarza głośno Małanka.

— Bardzo pokaleczyło?

— Nie wiem. Jedni powiadają, że rękę mu odcięło, a inni, że palce.

— Mój boże, mój boże...

Małanka drepcze po ciemku, jakby mysz w pułapce.

Nie wie, co właśnie chciała zrobić. Wreszcie Hafijka podaje jej spódnicę.

Jakby nagle piorun trzasnął...

Jakaż ta wieś nieskończenie długa! Tam w gorzelni nieszczęście, może Andrzej już nie żyje, leży wyciągnięty i nieruchomy, a tu te chałupy ciche i senne; przejdiesz koło jednej, znów druga staje na drodze, i tak, zdaje się, bez końca. Za płotem płot, wrota za wrotami... Słyszać ciężkie sapanie bydła w oborach. Hafijka nerwowo oddycha obok Małanki. A gorzelnia daleko.

Dopiero teraz zauważyła Małanka, że za nią idzie chłopiec z gorzelni.

— Widziałeś Andrzeja?

Ktoś obcy zapytał, a chłopiec mu odpowiada.

Nie, nie widział, jego wysłano. Opowiada coś długo i nudno, ale Małanka nie słucha.

Nocna wilgoć już tchnęła ze stawu — i nagle za rogami rząd oświetlonych okien uderzył ją w serce. Gorzelnia bucha dymem i cała drży, jasna, ogromna, żywa wśród martwej nocy.

Na podwórzu gromadka ludzi, światło. Andrzej umarł.

Małanka krzyczy, przepycha się przez wszystkich.

— Cicho tam, babo!...

Zatrzymuje ją gniewny głos; raptem milknie i tylko rozgląda się wokół siebie, pokornie jak obita psina. Tłumaczy jej.

— Widzicie, był w aparatowni.

— Koło maszyny, znaczy się...

— Koło maszyny — powtarza Małanka.

— Trzymał oliwiarke, aż tryb raptem — tego... obrócił się...

— Obrócił się — mówi Małanka.

— On wtedy prawą ręką — łap! żeby nie puścić oliwiarki, i cztery palce zaraz mu zagarnęło.

— Akurat przy samej dłoni.

— Żyje? — pyta Małanka.

— Żyje... felczer tam jest.

W dole pali się latarnia, a co się tam robi, jak jest Andrzejowi, Małanka nie wie. Dopiero teraz posłyszała, że jęczy. Więc żyje.

Wreszcie ten sam gniewny głos woła:

— Jest tu żona? No, babo... chodźcie...

Robotnicy ustępują jej z drogi. Widzi coś białego, niby poduszkę, i dopiero z bliska zauważyła żółtą jak z wosku twarz, która się jakoś zeschła, jest malutka, ma wykrzywione usta.

— Jędrus, cóżes ty sobie narobił?

Andrzej nic nie mówi i jęczy.

— Co ci jest, Andrzej?

— Czy ja wiem?... Kaleką jestem... Pozbieraj moje palce...

— Co ty mówisz, Jędrusiu?

— Pozbieraj moje palce... Zakop do ziemi... Na chleb nimi zarabiałem. Oj!... Boże mój, boże...

Podeszło dwóch robotników i zabrało Andrzeja. Nie pozwolili Małance lamentować.

W aparatuwni Małanka szukała Andrzejowych palców. Trzy żółte zaoliwione kawałki poniewierały się na podłodze koło maszyny, a czwartego nie znalazła. Zawinęła znalezione palce w chustkę i wzięła ze sobą.

Rano Andrzeja odwieziono do miasta, do szpitala, a Małankę wezwał sam panicz Lolo. Długo się gniewał, wrzeszczał na nią jak na Andrzeja, ale niech mu bóg da zdrowie: ofiarował pięć rubli.

Za trzy tygodnie Andrzej powrócił do domu. Chudy był, żółty, posiwiął, rękę miał na temblaku.

— Palce mnie bołą — skarżył się Małance.

— Gdzież te palce?

— Jak ruszę nimi, to zaraz ciągnie, zaraz boli. Pochowałaś je?

— Pewnie. W ogrodzie...

— Cóż my poczniemy? — frasowała się Małanka.

— Jak to co? Pójdę do gorzelni, niech dadzą inną robotę.

Ale w kantorze powiedzieli, że kalek nie przyjmują. Do panicza Lola nie wpuszczono go wcale.

— Ładny interes! — wołał Andrzej. — Pracowałem, panie dobrodzieju, dwanaście lat w cukrowni — nie cudzej, ale twego teścia — rękę u ciebie skaleczyłem przy maszynie, a ty mnie wyrzucasz? Jak coś niepotrzebne?...

Później chodziła Małanka. Prosiła, błagała — nic nie pomogło. I tak, powiadają, wielkie mają straty, za leczenie płacili, pięć rubli dali, a ile ambarasu...

— Aha, masz Jędrusiu swoją gorzelnię! — syczała Małanka folgując sobie w złości.

* * *

— Mamo... Chcę wam coś powiedzieć...

— A co takiego, Hafijko?

Hafijka milczała niezdecydowana.

— No, mówże, mów.

— Pójdę do służby.

Małanka załamała ręce. Ta znowu swoje!

Wszyscy Małankę złością, drażnią, już nie można wytrzymać.

— Nie martwcie się, mamo. Tak będzie lepiej. Tato już nie może zarabiać — gdzie mu tam! A zima nadchodzi...

— Cicho mi bądź! Czegoś mi się w duszę wcepiła. Już i tak ze mnie jeno cień został.

Hafijka umilkła. Przykro jej było. Matka popłakuje, a nie wiadomo czego.

Małanka długo wycierała nos i lzy.
Hafijka odezwała się w zamyśleniu:
— Akurat Pidpara szuka dziewczyny.
Małanka uporczywie milczała.

I tak stało na niczym, jak zawsze.

Andrzej wściekł się. Głos zrobił mu się jeszcze piskliwszy, kobiecy. Gdy się złościł, to twarz mu zalewał rumieniec, a wasy od tego stawały się jeszcze bielsze, jakby mleczne.

— Bogacze, fabrykanci, kalekę ze mnie zrobili, a potem przegnali... Zabrali siły, wypili krew i stałem się niepotrzebny.

Każdemu napotkanemu Andrzej podsuwał skaleczoną rękę.

— Spójrzcie tylko, co ze mnie zrobili. Dwanaście lat żyły wypruwali, dwanaście lat na nich robiłem. To taka sprawiedliwość na świecie? A do kroć stu tysięcy...

Andrzej nauczył się tej klątwy od Chomy.

Odgrażał się.

— To im płazem nie ujdzie: ludzka krzywda bokiem wylezie.

Pogróżki doszły do pana i ten przestał posyłać Andrzeja na pocztę.

Teraz na pocztę chodził kto inny.

„I co zrobisz temu opasowi! — rozważał Andrzej. — Czyja siła, tego i sprawiedliwość. Ma nas pan za bydło. Ale gdzie! Bydła prędzej pożałuje, bo pieniądze za nie płacił. Prawdę gadał ten Huszcza...”

Hafijka spojrzała na ojca życzliwym okiem.

Teraz mu się przypomniał Huszcza...

O służbie Hafijki więcej nie mówiono, jednak wszyscy wiedzieli, że służyć będzie musiała. Małanka była cierpiąca, od razu się jakoś opuściła i nie każdego dnia wychodziła z chaty. Hafijka sama chodziła

do roboty. Dawna bieda znowu zajrzała. Ciężko było Małance. Ot, wychowała dziecko, pilnowała, doglądała, duszę by dla niego oddała, a teraz puść to w służbę, na ciężką dolę.

Wiedziała Małanka, co to znaczy służyć. Pamiętały o tym dobrze jej spracowane ręce, jej dusza — zwiedła w służbie jak kwiatek pod zielskiem. Jedno tylko pocieszało Małankę, że jak niezadługo grunta będą dzielić, Hafijka rzuci służbę i wróci do domu.

A gdy trzeba było odprowadzić Hafijkę do Pidparów, Małanka była jak z krzyża zdjeta. Kłaniała się i prosiła, aby krzywdy jej dziecku nie robili.

U Pidparów czekała Hafijkę robota całodzienna. Gospodyni była kobietą słabą, chorowitą, wciąż stękała i ledwie powłóczyła po podłodze kaptami na bosych nogach. Cała domowa robota spadła na Hafijkę. A najwięcej kłopotu było ze świniami. Wieprze leżały po karmnikach, a knury, maciory i prosięta ryły pyskami na podwórzu. Rano, dopóki Hafijka gotowała im żarcie, wszystko to darło się, kwiczało, chrząkało i dobijało się ryjami do drzwi. A gospodyni uprzykrzenie stękała nad głową, głos jej skrzypiał i szurgały po podłodze kaptcie. Hafijka była rada, kiedy wreszcie znalazła się między świniami. Cała trzoda, zuchwała i żarloczna, od razu rzucała się na nią, szarpała z rąk, ogłuszała zgielkiem i mało nie zwała z nóg. Hafijka nie mogła sobie poradzić i tylko patrzyła, jak świnie przewracały cebrzyk z piciem, miesiły nogami żarcie i paskudziły w to. Karmne wieprze zachowywały się lepiej. Były czyste, ocieężałe, nie chciało się im ruszyć zadem i podnosiły się tylko na przednie nogi. Trzeba je było aż zapraszać do żarcia — nie miały chęci. Mrużyły maleńkie senne oczki, podnosiły do góry czyste, okraglutkie ryjki i tak cichutko postękiwały: och! o-och! — jak gospodyni. Hafijka drapała je po brzuchach — takich

różowiutkich, tłusciutkich; a one wtedy jeszcze odsuwały tylną nogę, zakręcony zaś ogonek drgał im cały czas jak żywy obwarzanek... Och! o-och!

Lubił tu też przychodzić sam Pidpara. Hafijkę dreszcz przejmował, gdy jego wysoka postać zjawiała się we drzwiach, a na karmnik cień padał. Bała się Pidpary. Był surowy, niemiły; wieczna troska kryła się pod jego krzaczastymi brwiami, lśniła srebrem w czarnych włosach. Szturchał wieprze kijem, podnosił je na nogi i obmacywał grzbiety. Nie patrząc na Hafijkę mówił do niej surowo:

— Uważaj, dziewczyno, żebyś jak należy doglądała świń... Boskie stworzenie lubi, żeby dbać o nie.

Prócz Hafijki miał Pidpara jeszcze dwóch parobków. Wprost znęcał się nad służbą. Zawsze mu było za mało roboty. Sam pracował za dwóch. Gdy głodni parobcy jedli dużo, mruzczał do żony: „Jak jedzą, to się spocą, a przy robocie ziębną... Deń-deń — byle dzień...“ Jeśli jedzenie było niedobre i parobek odkładał łyżkę, Pidpara gniewał się: „Dziadaki! Co toto w domu jadło? Zupę z wody“.

Hafijce zdawało się, że to o niej mówi Pidpara.

Osobliwie nienawidził Pidpara biedaków. Ściągał gęste brwi i pogardliwie cedził przez zęby: „Golcy! I co to ma?... Gdyby pracował, nicpoń, to by miał. A to się jeno na cudze ogląda...“

Dobrze chociaż, że gospodarz rzadko przesiadywał w chałupie. Zawsze był czy to w polu, u siana, w stodole, czy też u świń. Wszędzie padał cień jego wysokiej postaci — i tam, gdzie padł cień, zdawało się, że robota szła żywiej.

Czasem w niedzielę Pidpara zdejmował z drążka kapotę i podpasywał się szerokim pasem. Po wyjściu Pidpary gospodyni mówiła głosem słabym jakby umierała.

— Poszedł na zebranie... Och, och... Coś w pier-
siach kłuje... Mojego ludzie bardzo słuchają... Co on
powie, to już tak będzie... Strasznie poważają. Chcieli
na wójta obrać, ale mój nie chce. Żeby się majątek
nie porozłaził bez gospodarskiego oka... Och, ja nie-
szczęśliwa... och!

Jednak w gruncie rzeczy było niezupełnie tak.
Pidpara wracał zły.

— Licho wie, co się z tym narodem porobiło! —
użalał się przed żoną. — Dawniej, jak człowiek co po-
wiedział, to każdy słuchał, a teraz ani gęby nie otwórz
— takie rozwydrzenie. Już mi te wodzireje... Hołota!...
Tfu!

Cień mu się kładł między brwiami...

Czasem zbierali się goście. W święto, gdy
skwar już nie dokuczał, przychodził Maksym Sko-
robakołko, sołtys wiejski, przezywany „Wilczkiem“,
i teść Pidpary, Hawryło. Siadali na dworze, na
świeżym powietrzu, a Hafijka przynosiła z chaty
słoninę i rybę. Gospodyni, chociaż było ciepło, narzu-
cała kożuch i też siadała z nimi.

Jedli, rozmawiali o tym, gdzie co można z lep-
szym zyskiem sprzedać, kto ile czego zebrał, kto ko-
go i jak oszukał. Rudy Maksym miał przyzwyczajenie
zbierać wszystkie okruszyny ze stołu w garść
i wrzucać do ust, a po słoninie oblizywał palce. Nie
dlatego, żeby był głodny, lecz by się nic nie zmarnowa-
ło. Niespokojnie mrugał oczyma, wiecznie śmiał
się i obracał na wszystkie strony szeroką twarz,
gęsto upstrzoną piegami. Spokojną rozmowę zawsze
umiał skierować na śliskie tory.

— O, niezadługo golce zaczną grunta dzielić...
Cha-cha!... Na co bogatym tyle ziemi? Żeby, znaczy
się, wszystkim jednakowo. Cha-cha... Wy wiele ma-
cie? Trzydzieści? No, to wam dwadzieścia trzy od-
krają. Cha-cha!...

Pidpara nie lubił żartów. Ale Maksyma nie łatwo było pohamować. Już mrugał okiem do Hawryły.

— A wam, kumie, nie zaszkodzi jeszcze więcej oddać. Naprawdę, po co wam: starzyście już, niech golcy w piórka porosną, niech sobie użyją.

— Ha, cóż! Co gromadzie, to i babie — wykrzywał się Hawryło. — Na starość trzeba będzie jeszcze za snop pracować.

— Oj-oj! Jeszcze jak! Możeście zapomnieli, jak się to żnie?

Pidpara gniewał się.

Dostaną, jak rak świnię. Ani jednego pręta nie da! Co dziad i ojciec swoją krwawicą zarobili, od tego zasie. A co sam przysporzył, to jego praca, i wara od niej wszelakim próżniakom.

— Zabiłbym na miejscu jak psa, niechby się je-
no który odważył; grzechu bym się nie zląkł.

Pidparowa owijała się w kożuch i jęczała.

— Kupiłbyś choć lepszą strzelbę... Och, och, bo-
że kochany... Twoja nic nie warta, sznurkiem ją obwią-
zujesz...

— Dobra i taka... Po co pieniądze wyrzucać...

„No, ten póki życia ani zagonu z rąk nie popu-
ści“ — myślała Hafijka.

Po takiej rozmowie Pidpara robił się jeszcze
bardziej ponury.

Idąc spać poprawiał na ścianie strzelbę, a koło
siebie kładł siekiere.

Strach ogarniał Hafijkę.

* * *

Z nieba mży drobny deszczyk, a Mażuha nakrył
plecy workiem i chodzi po wsi. Składa się i rozkłada
jak scyzoryk.

— Słyszeliście? Pan nie chce nic dołożyć do
placy.

— Skąd wiecie?

— Dopiero co Prokop z ludźmi był u pana.

— I pan co?

— Jak, powiada, dotąd było, tak zostanie: nie postąpię.

— Tak... Co teraz robić?

Mažuha podnosi rękę jak dyszel, ścisną pięść i słowa wylatują mu z zapadłej piersi jak gdyby z przepaści:

— Zastrajkujemy!

— Nie pójdziemy do roboty, to zgodzą ludzi z Jamiszcz.

— Z Jamiszcz nie pójdą, też chcą więcej.

Ołeksza Bezyk wychodzi ze swego podwórza, dzieci jak cyganięta skaczą za nim po błocie.

Bezyk zgadza się na wszystko. Strajk to strajk. Gorzej nie będzie.

Mažuha idzie dalej. Jego figura to się wydłuża w siatce deszczu, to się znowu kurczy, jak gdyby ryba rzuciła się w sieci.

Małanka schowała ręce pod fartuchem, a oczyma łyska ze złością.

— Tak, ludzie kochane, tak! Leźcie w jarzmo, żnijcie za trzynasty snop. Dogódźcie panu...

I zacisnęła suche, zwiędłe usta.

— Niedoczekanie jego. Niech sobie sam żnie.

— Kiedy przecież kole go rżysko.

Aleksander Dejneka klnie paskudnie. W ogóle ciężkie klątwy buchają wszędzie jak gdyby cepy na klepisku.

Moknie Dejneka, ale nie idzie do chaty. Lepiej mu w kupie.

— Pan się zawział, trzymajmy się i my.

— Przeciw gromadzie nie poradzi.

— Nie przymusi żać.

— Pewnie, że nie!

— Strajkujmy i basta — decyduje naraz Półtora Nieszczęścia.

A Mažuha już na drugim końcu wsi porusza ludzi.

— Słyszeliście?

— A tak, słyszeliśmy.

— No i co?

— A jak ludzie?

— Strajkują.

— Jak strajkują, to i my przystaniemy.

A pański łąn drzemie jakby morze w szaro-zielonej mgle. I śni mu się sierp.

* * *

Choma siedzi na pagórku, Andrzej obok niego. Słońce pali. Ponad wsią i polami zawisło drgającymi falami powietrze, a w nim tańczą — po lewej stronie gorzelnia, a na prawo — dwór.

Głos ma Andrzej cieniutki, płaczkliwy. Tak jakby zebrał o jałmużnę z oczu Chomy.

— Widzicie, Chomo, co ze mnie zrobili.

Ale oczy ma Choma mętne jak mydliny. Wparły się kędyś w przestrzeń i tylko kiedy-niekiedy, jak na bańce mydlanej, mignie w nich zielonawo-czerwony ognik.

— Do czego jam teraz? Co pocznę bez rąk?

— Cha-cha!

— Nie potrzebują takich. Mają zdrowych.

Choma milczy.

— Cóż mam robić — ginać?

— A zginiesz.

— Gdzie na świecie sprawiedliwość?

— Milcz, Andrzej. Milcz i giń.

— Żywemu nie chce się ginać.

— Teraz płacze, a pierwaj się radował: gorzelnia! Wielkie dziwo!... Bodaj temu oczy grały, a zęby tańczyły, kto ją stawiał...

Andrzej od razu gaśnie i już bardziej do siebie mówi.

— Zagryźli mię, panie dobrodzieju, tak... Wzięli i zagryźli...

— A tyś myślał, że żal im będzie? Spójrz no tu!

Choma szturcha lekko Andrzeja w ramię i obraca na lewo. — Widzisz tych, co tam? — Później obraca go na prawo. — A tych, co tam, bogaczy, wielmożnych?... Wnyki zastawiają na ludzi jak na wilki. Złapałeś się, to skórę z ciebie zedra, obłupią do szczętu, a co niepotrzebne, w gnój wyrzuca.

— Prawdę mówicie, Chomo, oj, prawdę...

— Ty sobie myślisz — fabrykę stawiają, folwark urządzają. A oni kajdany kuja, na ludzi pułapki rozstawiają, aby ludzką siłę w nie złowić, krew z ludzi wytoczyć... A bodaj was stoczyło jak robactwo belkę...

Andrzejowi duszno. Gudź prawi dawno znane słowa, ale dzisiaj krają one serce jak ostrym nożem, zdzierają z oczu bielmo.

Oczy Andrzeja na chwilę przebiły mury gorzelni, ściany pańskiego dworu, patrzą w głąb jakoś po nawemu.

— Zapaskudzili ziemię niczym krostami — słyży Andrzej. — Dużo ich? — Garstka, a patrz jak nasiedli ziemi na piersi, jak daleko sięgają rękoma. Zdusili wieś swymi polami, jakby szyję stryczkiem, zapędzili w ciasny ką. Patrz, leżą wie jak kupy gnoju na pańskim polu, a ponad nimi dymią pańskie cukrownie i gorzelnie i ludzką siłę przepędzają na pieniądze...

Dziwno Andrzejowi, że dopiero dziś po raz pierwszy ujrzał, jak to naprawdę wieś takie malutkie, zagubione.

Jakby kto roztrząsał po podwórzu trochę słomy z wozu. I dziwno mu też, iż dworski pastuch w jednej chwili jak gdyby urósł. Siedzi obok niczym dąb w grunt wrośnięty, a do stóp łany toczą mu kornie żółte fale i nawet słońce w pokorze ściele się po ziemi.

Andrzej zapomniał o wyrzekaniu. Patrzy tylko i słucha.

— Spójrzj na mnie, a ja na ciebie. Ty mi pokażesz siwy włos, kalectwo swoje, a ja ci co? Może duszę swoją, com ją w gnoju zagrzebał, gdy pańskiego bydła doglądałem? Zagrzebałem tam wszystko, czym dusza mi gorzała, a tyś z innymi patrzył i milczał... Bodajbyście na wieki poniemieli ze szczętem, krety ślepe...

Ale! I cóż by mógł zrobić Andrzej? Czym ludzie zawinili?

Choma wpiera w Andrzejowe oczy swoje, mętne. Ostry, kłujący śmiech krzesze z nich iskry, a na dnie szaro-żółtej głębi już zaczyna wrzeć.

Andrzej nie może wytrzymać, straszno mu.

Choma milczy, lecz Andrzej czuje, że śmiech bulgocze w Chomie jak woda w kotle.

Wreszcie śmiech się wydarł i wnet słońce się zmrużyło.

I raptem wielka, gorąca twarz przysunęła się blisko, tuż do ucha Andrzeja — zionęła ogniem. Słowa poleciały tak prędko, że Andrzej ledwie je nadszytył chwycić.

— Nie mogłeś? Nie, lżesz, tyś mógł. Widzisz — pola... pszenica jak morze... pańskie bogactwo... A ty byś wziął zapalną z pudełeczka — i dymy poleciałyby ku niebu, a na ziemi tylko by sam popiół został... Widzisz — budynki, pałace, pełno bydła, dobra wszelakiego... A ty byś przyszedł, maleńki, szary jak mysi cień — i po tobie tylko węgle...

Choma mówi coraz prędzej i prędzej, rwie słowa, świszczce, bulgocze.

— Od pana do pana... od gorzelni do cukrowni... od gniazda do gniazda. Wszędzie, gdzie ludzka krzywda gniazdo uwiła, dopóki nie zostanie goła ziemia...

Andrzejowi oczy na czoło wylażą, ciarki mu po grzbiecie przechodzą.

— Słyszysz? — świszczce Choma — tylko goła ziemia i słońce.

Choma zwariował. Co też mówi?

Andrzej musi coś odpowiedzieć, ale język lękliwy jakby zając ucieka gdzieś w gardło.

Wreszcie powrócił, ale mówi nie to, co potrzeba.

— Bójcie się boga, Chomo! — czyż tak można?

Choma patrzy w milczeniu, później cedzi doń z góry, jakby mu w oczy pluł:

— Cham jesteś... Robaku, gnij, gnij, żeby i ślad twój przepadł, tak jakby cię nigdy nie było...

— Ojej, jacyście wy, Chomo, naprawdę...

Ale Choma nie słucha. Staje wyniosły, gniewny, i wchodzi w pszenicę jak w wodę.

Andrzej zaś przylepił się do ziemi jakby zbutwiały zeszloroczny listek.

* * *

Ekonom łyska ku panu czołem, a na brązowej twarzy, gdzie zawsze igrało słońce, pan widzi jakiś niepokój.

— A co tam, Janie?

— Proszę pana, dzisiaj nie można zacząć żniw.

— A to dlaczego? Czyż Jan wczoraj nie mówił ludziom?

— Całą wieś obleciałem, proszę łaski pana, ale nikt nie poszedł do roboty. Nie chcą żąć za naszą cenę.

— Jak to nie chcą?

Pan się zatrząśł. Strajk? U niego?

Pan jest dotknięty. Wie, że po wsiach były strajki, ale żeby u niego, co zawsze był taki wyrozumiały dla chłopca, nieraz darował szkodę, a żona nigdy nie odmawiała choremu chininy, oleju i arniki... Jeszcze raz chce usłyszeć.

— Jan powiada, że nie chcą?

— Tak, proszę pana.

Z chłopem to zawsze tak. Chłopca choćby miodem smarować, a on ukąsi jak żmija.

Pan wygląda w okno. Słońce dopiero co wzeszło.

— No, dobrze. Więc... zaraz na koń i niech Jan galopuje do Jamiszcz! Tam najać. Gdy nie będą chcieli — dodać im ceny.

— Słucham pana.

— Łajdaki!

Ale nie zdążyła jeszcze poranna cisza wchłonać tętentu końskich kopyt, gdy ze dworu dolatuje przytłumiony zgiełk i tylko wysoki głos kobiecy przerywa go jak płomień dym.

— Co tam?

Pan otwiera okna.

Cała służba na podwórzu, nawet pastuchy. Dziewczęta z kuchni w pędzie łopoczą spódnicami... Są jacyś obcy ludzie.

— Co tam za krzyki? Co to za ludzie?

Pan zasłania gołe piersi i chce coś zrozumieć, ale nie zwracają na niego uwagi.

— Maksymie! Ej, kto tam? Maksymie!

Wreszcie biegnie Maksym, jakiś zmieszany, z wystraszonymi oczyma, a za nim inni.

— To, proszę pana, nie nasza wina... Życie miłsze jak służba... Poranią i co wtedy dzieci poczną...

— Co takiego? Mówże!

W odpowiedzi służba gromadą woła:

— Jak to co? Strajk. Jak nie rzucimy roboty, pobija nas. A co tam, chodźmy... Hej, chłopaki, idziemy. To, panie, wola nie nasza.

Krew zalewa panu mózg.

— Wy dokąd? Stać!

Rozgniewany głos szczęknał jak żelazo o kamień i raptem się oberwał. Pan czuje, że głos jego upadł, rozbił się, a on nie ma sił go podnieść. Nadaremnie. Służba już koło bramy, skłębiła się w niej jak szare stado, które rano pędzą na pastwisko. Z zabudowań wybiegają dziewczęta — i tylko w słońcu miga czerwień chustek. Od obór śpieszy sam wśród pustki zapóźniony maleńki gęsiarek. Poły uniósł rękami, czapkę nasunął, bat wije się za nim jak żmija i zostawia za sobą powykrzywiany ślad.

— A ty dokąd? Huncwocie! — tupie pan noga... — Zawracaj!...

Gęsiarek tylko kroku przyśpiesza. Chwilkę pan stoi i patrzy w pustkę.

— Bestie! Chamy!

Prędko naciąga spodnie i wybiega na podwórze. Pusto.

Idzie wzdłuż zabudowań. Dziwnie. Nie jego dwór! Jak gdyby obcy. Wchodzi do kuchni czeladnej, popycha nogą drzwi i woła:

— Maryno!

Nikogo.

— Ołeno!

Cicho.

W kuchni czeladnej jak w kuźni. Ściany okopcone, podłoga pełna dziur, a kwaśna woń potu i zaczynu mocno zaległa w kuchni jak leniwy kot na piecu. Wiązka drzewa leży koło pieca, zaczęto obierać kartofle. I wszystko porzucone w nieładzie.

Pan idzie dalej. Gęsi porozłaziły się po podwórzu. Gąsienka kusztykają z nogi na nogę, jakby wiatr pędził

po murawie żółty puszek. Nie wygonił więc ich gęsierek na wygon. Pan kręci głową. A krowy zostały w oborze. Drzwi do wozowni stoją otworem i czarna pustka wyziera stamtąd jak z bezzębnych ust. Bryczka stoi na dworze, a obok niej poniewiera się uprząż. Ach, to bydło! Pan bierze uprząż, aby ją zanieść na miejsce, ale zaraz rzuca. Czyż nikogo nie ma i u koni?

— Musiju! Hej!

Znowu cicho.

— Musiju! Jesteś tam?

Diwnie pada głos w pustkę naokoło i bez odpowiedzi ginie.

Pan składa na brzuchu ręce i rozgląda się po podwórzu...

Co tam takiego?...

Sen czy jawa?

Dopiero co dwór był jak serce, które bije i pędzi krew przez ciało, a teraz wszystko zamarło, stanęło; każde zamknięte drzwi, każdy czarny otwór jest jak zagadka.

Psy ujrzały pana i już skomlą pod nogami, skaczą na piersi.

— Precz!

A bestie, chamy!

Wraca do domu. I tam wszędzie pustka. Żona śpi jeszcze. Przechodzi przez puste pokoje, zagląda do jadalnego, szuka pokojówki — ani żywego ducha.

Gniew go dusi. Trzaska drzwiami, przewraca krzesła i chce tak krzyknąć, aby od ścian wszystkich pokoi odbiły się stajenne klątwy.

A bestie, bydło!

Gdzież Jan?

Staje i słucha.

Jan! Od tego słowa od razu zaszemrały mu dokoła pola, zafalowała dojrzała pszenica. A żać nie można.

Gdzie Jan?

Masz tobie! Sam przecież posłał Jana do Jamiszcz, aby zgodził żniwiarzy. Z Jamiszcz oczywiście przyjdą i cała awantura się skończy. Ale ci chłopci!

Pan nie może usiedzieć w pokoju. Coś go ciągnie na podwórze. W tym podwórzu-trupie jest coś wabiącego. Jeszcze raz obchodzi je od końca do końca, samotny i bezradny, przechodzi obok zawartych wierzei i stodół, czarnych okienek stajen, wilgotnych i błyszczących oczu krów.

A Jan, ociekający potem, cały w tumanach kurzu, pędzi z powrotem. Koń sapie i sapie ekonom podskakując w strzemionach.

Spotykają go okrzykiem:

— Co, pański popychaczu, zgodziłeś w Jamiszczach?...

— Dużo masz żniwiarzy? Cha-cha!

Jan pędzi nie oglądając się; tylko podnosi rękę z nahajem i w milczeniu macha nim poza sobą.

Wież zamknęła się w sobie, czeka. Wszyscy mają oczy baczne, uszy czujne. Dwór jak nieboszczyk na wsi, chociaż cichy i nieruchomy, a budzi trwogę.

Wiadomość, że nikt z Jamiszcz nie chce przyjść, oblatuje całą wieś prędzej niż koń ekonomy.

Chociaż dzień powszedni, wszyscy w domu. Pod wrotami kupki ludzi, w chałupach drzwi na oścież. Porzucono robotę w ogrodach. Stoją ludzie między zagonami, założywszy ręce, rozmawiają poprzez sąsiedzkie płoty.

— Słyszeliście? Chociażby jedna żywa duszyczka we dworze! Wszyscy porzucili.

— Oni już dawno przystali, czekali tylko, aż ludzie zaczną.

— Cóż będzie?

— Ziarno zacznie się sypać, to podwyższą płacę.

— No, no, żeby nie zgodził obcych!...

— Ale gdzie tam, nie puszcza. Nasi nie puszcza obcych.

Prokop tłumaczy:

— Trzymać się! Jak razem będziemy stać, nasza będzie góra.

Z ust mu chwytają słowa.

— A jakże. Kupą, powiadają, i ojca bić dobrze.

Bogatsi mruczą. Po kolana ugrzęźli w ziemi, ciężko im.

— Strajk! Będziecie mieli strajk... Niejeden się po plecach podrapie... A, licho nadało!

Ale nie nazbyt głos podnoszą, boją się.

Młodzież śmieje się.

— Dobrze idzie?

— A dobrze.

W południe dzieci roznoszą wieść: pan poszedł do gorzelni. Przez szybki okien, z ogrodów i zza opłotków setki oczu biegną w ślad za panem.

Pan idzie pod spojrzzeniami jak pod gwiazdzistym niebem.

— Poszedł do zięcia na gorzelnię.

— Na obiad, bo w domu nie ma nic.

— Nie gotowali.

Nawet Panas Kandziuba smakowicie cmoka ustami:

— Ozuć by cię w postoly...

Wkrótce znowu nowina: panicz Lolo przysłał do dworu robotników z gorzelni.

— Nasi zbili robotników.

— Gadanie! Nikt ich nie bił. Nie puścili, i basta.

— Niech pan sam bydła dogląda.

— Nikt mu nie broni.

Prokop prosi Dejneki i dwóch parobków, aby stały na warcie i nikogo na folwark nie wpuszczali. Póź-

niej pani wyjeżdża ze dworu końmi, które przysłał z gorzelni panicz Lolo.

Dzień wlecze się długo jakby rok. Zdaje się, że w polu pszenica się osypuje, że pan więcej nie wytrzyma, już-już a zawoła żać, zgodzi się na to, czego chcą ludzie.

Po południu ekonom znowu pędzi przez wieś jak oparzony. Smaga konia i skacze w strzemionach jak gdyby chciał konia prześcignąć.

Ledwie można zdążyć dojrzeć koński zad i ekonomowe plecy.

— Poniosło go gdzieś do Piasków.

— Nie pożywi się tam. Nie przyjdą.

— Bo co?

— Strajkują.

Wieczór już blisko, a zmiany żadnej. Tylko krowy ryczą na folwarku.

Słońce spokojnie zachodzi na zielonym niebie, pewnie na wiatr. Coś dławiącego, niepokojącego wyrasta niedostrzegalnie. Żarzą się okna po chałupach, ryk bydła wstrząsa gęstym powietrzem.

— Choćby kto bydło nakarmił.

— Cóż ono winne? Stoi, biedne, ani piło, ani jadło...

Pański folwark coraz głośniej ryczy. Krowy nie porykują już, ale ochryplym, skrzypiącym, głośnym rykiem, pełnym męki i rozpacz, wzywają ratunku. Konie rżą gniewnie. Burzą się gdzieś w stajni, walą ziemię kopytami i rozdymają w złości chrapy.

Kobiety w żałościwym zatroskaniu wybiegają z chałup.

— Oj, nie mogę słuchać, jak bydło płacze.

— Chyba sama polecę i nakarmię...

— Boże, jak mi żal... Moje dzieci aż płaczą.

Zmierzcha się. Cienie wylażą ze swych zakamarków i cichaczem, podstępnie siadają ziemi na piersi.

A z pańskiego dworu uparcie i bez ustanku uderzają w wieś fale dzikiego ryku, jak gdyby okręt ginał na morzu i w ostatniej desperacji błagał o ratunek.

Wtedy Prokop posyła chłopców na folwark.

Bydło nic nie winne.

* * *

Pan siedział cicho — i ludzie też. Chodzili w pole, żęli swoje zboże i uśmiechali się złośliwie, radzi, gdy pański ekonom powracał z niczym ze wsi sąsiednich. Słońce paliło, pszenica schła, lada chwila, a zacznie osypywać się.

Przyjeżdżał stanowy. Dzwonienie ekstrapoczty, ujadanie psów, ordynarne wymysły i wrzaski — wszystko to przepłynęło jak chmura na letnim niebie. Musiał odjechać z niczym. Tylko Chomę zabrano, bo stanowego zwymyślał.

A pszenica sypała się.

Wtedy ekonom zmiekl. Fundował wódkę i wciąż perswadował. Jeden go zwymyśla, a inny wypije. Pili wódkę — czemu by nie wypić? A do roboty nie szli. Może kogo nawet korciło, lecz bał się gromady. A pszenica sypała się.

Małanka poszła w pole. Przypadła uchem do bezbrzeżnej niwy jak mewa piersią do morza i nadsluchiwała, jak cicho łuszczy się ziarno z przejrzałego kłosa, jak płacze niwa złotymi łzami. Żal jej niwy jak dziecka, chociażby ono było pańskie. Kłeka, rozgarnia żdźbła i zbiera czerwone ziarna tak ostrożnie, tkliwie i miłośnie, jakby niemowlę z kąpieli wyjmowała. Chlebnie święty!...

Niektórzy z miesięcznych wrócili do pana. A żniwa nie rozpoczynały się. Wreszcie po tygodniu pan postąpił. Nie tyle jak chcieli ludzie, jednak dał znacznie więcej niż było dawniej.

— Iść?

— Idziemy!

Prokop też radził.

— Doszliśmy do granicy.

Ludzie przypadli od razu do pańskiego pola jak do wody w skwar, ponastawiali kóp, stogów.

A Chomę Gudzia prędko wypuszczono. Wracał właśnie obok pańskiego pola. Tylko spojrzął na żniwiarzy i krzywo się uśmiechnął.

* * *

Nisko snują się chmury, rosną, gromadzą się i opadają. Tak jakby wiatr zgarniał pokosy na nocnym niebie, układał w kopki. Na łące ciężko drzemia czarne stogi, jak gdyby syte woły na paszy. Rozpłynęły się i giną w ciemnościach, a Choma wszędzie je czuje: i z prawej strony, za sobą, z lewej, nad głową. Siano takie śliskie, gładziuchne, tak pięknie pachnie, że chce się rękę wepchnąć do środka, wzruszyć martwe trawy i wypuścić z niewoli ściśnięty tam aromat ziół.

Ostry, kłujący śmiech porusza się w piersi Chomy, podchodzi do gardła. Cha-cha-cha!

Napracowały się ręce i nachodziły nogi, nim zebrały taki majątek...

A tu jedno mgnienie...

I Choma nie kończy. Zdaje mu się, że widzi, jak zbierają siano. Pan chodzi tu i tam jak bocian. Schylił się, utknął nosem w pokos. „Dobre siano.“ — „Jak najczystsze złoto...“ — „Zgrabiajcież, ludzie, zgrabiajcie, żeby deszcz nie zaskoczył“ — i spogląda na niebo. W czarnych spodniach i białej kurtce, ręce włożywszy do kieszeni, znów z góry stąpa po łące jak bocian.

A śmiech tańczy w piersiach Chomy.

Choma leniwie wsuwa rękę do kieszeni i nie wyjmuje.

Czego się śpieszyć? Zdaży.

Szumi wiatr pomiędzy stogami, pijany wonią siana, chmury układają się w pokosy, noc jak jezioro w obramowaniu nieba, a Choma znowu widzi: przed panem stoi ekonom z nahajem u boku. — „Tego roku więcej mamy siana.“ — „Tak, proszę pana, wystarczy na zimę i jeszcze na sprzedaż.“

— Wystarczy i na sprzedaż — mówi do siebie Choma.

Ostrożnie nawyskubywał siana i poroztrząsał je. Później wyjął z kieszeni zapalki.

Ogień gaśnie od wiatru, ale Choma nachylił się, zestawił dłonie w daszek i patrzy z upodobaniem, jak mu poróżowiały ręce.

Siano nie chce się palić; trzeszczy, dym skacze do oczu. Chomę to irytuje. Jednak ogień robi swoje.

Wtedy Choma, spokojny i skupiony, odchodzi pod drugi stóg. Mignie coś na chwilę i znowu zniknie.

Wreszcie Choma skończył.

Teraz chce patrzeć.

Kładzie się brzuchem na trawie, wspiera głowę na dłoniach i czeka.

Stogi czernieją wyraźnie; Choma je widzi nawet zamknawszy oczy; później okrywają się dymem, stają się lekkie i pełne ruchu. Drobne ogniki poczynają igrać pod nimi jak dzieci w czerwonych sukieneczkach. Skaczą po bokach i idą do góry, a czarna masa to się gnie pod nimi, to nagle prostuje, jakby usiłowała wznieść się i ulecieć.

Głowa Chomy ciężko leży na dłoniach. Przejmuje go dziwny spokój, tylko gdzieś głęboko, na samym dnie piersi, jak robaczek kurczy się śmiech.

Tymczasem stogi rosna. Dym rozwija skrzydła i porywa z sobą ogień. To już nie dzieci w czerwono-

nych sukieneczkach. To coś ogromnego, zażartego, jakaś rozjuszona bestia, która chce zrzucić z piersi ciężar, wydobywa spod niego łapy z silnymi żyłami, ściska ciężar i podgarnia pod siebie. Rozdziawia krwawą paszczę i żre. Szarpie kłami i miota się we wściekłości.

Wróg się ukorzył, a bestia wciąż jeszcze iskrami parska jak kot śliną, cała zionie sinym ogniem i chlupie płomieniem o brzegi czarnej nocy.

Choma śmieje się cichutko. Śmiech wydobył mu się z gardła, potoczył zmarszczkami twarzy — i Chomie jak gdyby lżej się od tego zrobiło, jak gdyby ten ogień wypalił w piersiach obolałe miejsce.

Ogień! Czerwony, radosny, czysty.

Jeszcze niedawno spoczywał w ciemnym pudełeczku, zimny i bez znaczenia, jak Choma na świecie, a teraz mści się za krzywdę ludzką.

Pal się, pal...

Oczy Chomy też miotają iskry. Gdyby mogły, wszystko by spaliły, wszystko by spopielili — siano, pańskie zboże, budynki, samą ziemię objęłyby płomieniami.

Bo to grzeszne... Wszystko na przeklętej ziemi grzeszne... Wszystko grzeszne, tylko ogień święty. Tylko ogień. Sam bóg miota w gniewie ogień na ziemię.

Zbierasz majątek z potu, łez, z krzywdy ludzkiej, a spada ogień — i gdzie to wszystko? Szukaj w chmurze, grzeb w popiele... Cha-cha!...

Złowroga radość zalewa Chomie serce. Chciałby wstać, krzyknąć, roześmiać się, zlać śmiech z ogniem. Ale Chomę coś trzyma, coś wiąże z ogniem... i zdaje mu się, że gdy wstanie i nie będzie patrzył, stogi zgasną i przestaną płonąć.

Wreszcie stogi więdna. Potulne, ciche, palą się równo jak świece w cerkwi. Niskie chmury różo-

wieją na niebie, dal trzepie czarnymi skrzydły jak nietoperz.

Cienie kopek lekliwie dygoczą na oblanej blaskiem łące.

Siano powoli dopala się. Czasem buchnie z trzaskiem snop iskier lub wiatr zerwie wiechcie na poły tłącego się żaru i rozrzuci go gwiazdami. Od wsi słychać daleką wrzawę. „To pewnie idą ratować“ — myśli Choma ciężko i obojętnie. Nie chce mu się wstać. „Złapia? No cóż, a niech sobie...“

Wrzawa coraz to bliżej i bliżej. Już słychać, jak pokrzykują ludzie, sapią konie i kopyta odrzucają ziemię do tyłu.

Choma nareszcie wstaje. Prostuje się, przeciąga zależale ciało i leniwie, powoli, cały zjeżony i czarny, znika w ciemnościach.

* * *

Sprzątnięto już późne gryki, gdy Huszcza powrócił. Nie poznano go zrazu. Urosła mu broda, postarzał się i zrobił jakby trochę obcy. Huszczę przyjęto dobrze. Chłopcy ściskali mu ręce długo i mocno, jakoś po nowemu patrzyli w oczy. Nawet Andrzej był już nie ten sam. Poklepał go po ramieniu, chytrze nań mrugnął i roześmiał się.

— Co, posiedziałeś sobie?

Jak gdyby mówił: „wiemy, za co“.

Rozpytywano go — jak? co? Co słychać o ziemi, o czym w świecie mówią? On chyba wszystko musi wiedzieć.

Hafijka dowiedziała się o Marku od Pidpary. Ten wyrzekał ze złością: i tak już hołota żyć nie daje, a tu na dobitkę Huszczę wypuścili.

Huszczę?

Hafijce serce zamarło. Czy nie przesłyszała się? Ledwie doczekała się zmroku i pobiegła do domu.

Ale po drodze spotkała Huszczę.

— Marko!

Nawet nie wiedziała, że wyciąga doń ręce.

Uścisnęli się serdecznie.

Wszystko stało się tak niespodzianie i prosto, jakby się dopiero wczoraj rozłączyli.

Hafijka śmiała się dźwięcznym, urywanym śmiechem, jakby korale nawlekała. Sama nie wiedziała, czego się śmieje. Ręka Marka miękko obejmowała ją wół. Broda łaskotała czoło.

— Patrzcie, a on ma brodę jak dziad...

Odeszli pod wierzby.

Marko przyglądał się Hafijce. Była jakaś zmieniona, przeźroczyista, starsza.

— Nie zapomniałaś mnie?

— Nie zapomniałam...

— Czekaaś?

— Czekałam.

— A tymczasem ulotki podrzucałaś?

Głos mu drżał, ciepły i cichy jak wietrzyk wiosenny, gdy drzewa kwitną.

— Skąd wiesz? Naprawdę podrzucałam. Wiesz, Marku, nie ci tu teraz ludzie, co dawniej. I tu był strajk.

— O!

Hafijka jest okropnie dumna.

— A jakże! Bogacze tak się powystraszaali, tak powystraszaali. Mój gospodarz chodził jak noc, nawet jeść przestał. Kładzie łyżkę: nie mogę! — powiada. I wciąż boi się.

— A twemu ojcu i dotąd żal, że ja nie na Syberii?

Hafijka cała się poruszyła.

— Gdzież tam! Jak się z tatą nieszczęście stało, zupełnie się odmienił. — „Prawdę, powiada, gadał ten Huszcza“... Dobrze, żeś już przyszedł. Teraz nam lżej będzie...

— Komu to „nam“?

Wtedy Hafijka opowiedziała Markowi, jak się przez całą zimę ludzie zbierali, jak z miasta Prokop przynosił książki i ulotki, ile się do nich ludzi przyłączyło. Nawet Panas, stryj Prokopa. „Opowiedzcie, powiada, o tych demokratach“...

Hafijka wybuchnęła śmiechem na samo wspomnienie o Panasie.

— Taki pocieszny!

Marko wziął ją za rękę.

— Ślicznaś.

Hafijka zarumieniła się cała, nawet po ciemku widać to było.

— Cóż — ja...

Młodzież niebawem skupiła się koło Huszczy. Od niego po raz pierwszy usłyszano, że wszędzie wsie łączą się w związki. W długie jesienne wieczory młodzież rozprawiała i sprzeczała się bez końca. Do swojego niewielkiego kółeczka Huszcza wprowadził nowość — pracę wspólną. Razem orali i młócili — i wszystko u nich szło i lepiej, i prędzej jak u innych. Jakoś same przez się zniknęły ze wsi pijackie burdy chłopaków, bóiki i nocne wrzaski. Ci, co jeszcze niedawno wyprawiali różne awantury, teraz wdrożyli się do roboty, do wspólnego czytania. Nawet starzy chwalili Huszczę. Rozpytywali go, czy prędko będzie podział ziemi. On wie z pewnością. Marko śmiał się: nikt ziemi nie da z dobrej woli. — „Jak! gruntów nie podziela? Cóż to będzie? Co robić?“

Tylko pański pastuch Choma Gudź miał zawsze gotową odpowiedź:

— Jak to — co robić? Tłuc! Bić! Na nasienie nie zostawić...

Zza pleców Chomy Andrzej gniewnie podnosił okaleczoną rękę i wrzeszczał:

— Tłuc i palić! Jeśli chcesz, panie dobrodzieju, zjeść miodu, to wykurz pszczoły...

Kogo mieli słuchać?

Huszcza mówi o związku, Prokop o wolności, a Choma radzi tłuc i palić.

Panas Kandziuba, ciężki, szary w swojej świtce jak odwalona pługiem skiba, siał oczyma dręczące pytania: dokąd iść? Gdzie szukać prawdy?

Nie wierzył nikomu.

Czy tam chłop co wie?

Gdyby to przyszedł ktoś inny, wiedzący, wyciągnął rękę, wskazał drogę...

Ale chłop? Co wie chłop? Ma na sobie jedną skórę i to połataną.

* * *

Teraz co noc to pożar. Gdy się tylko zmierzchnie i czarne niebo szczelnie otuli ziemię, daleki widnokrąg wnet rozkwita czerwoną zorzą i jako róże są jesienne chmury do samego rana. Czasem łuna daleka, ledwie ją widać, obca, jak gdyby tam księżyc wschodził, a czasem zapłonie tuż nad samą wsią, aż chałupy różowieją i żarzą się okna.

Małanka wyjdzie z chałupy, schowa ręce pod fartuchem i zapatrzy się na pożar. Co się pali? Gdzie? Ludzie nie śpią, chociaż dawno już pora: stoją pod wrotami, czytają znaki niebieskie. Płyną głosy z ciemności nie wiadomo czyje i giną w ciemnościach.

— Pan w Pereorkach się pali.

— Wcale nie! Gdzieś bliżej — w Młyniszczach albo w Rudce.

— Widać podpalić musieli...

Po podwórkach wszędzie wyją psy — smutno jest i strasznie w taką noc jesienną.

— Wczoraj palił się folwark w Hucie.

— A onegdaj ktoś stodoły podpalił...

— Powiadają, że spaliło się ze szczętem — samo popielisko zostało.

Zdarzało się, że pożar pożarowi znak podawał. Jak się tylko gdzieś niebo zajmie — zaraz z drugiej strony wznosi się czerwona mgła i rozwija skrzydła. Wtedy czarna wieś wygląda jak wyspa na ognistym morzu. Wiatr czasem przynosi czad, dźwięk dalekich dzwonów, alarmy.

Boże, co się dzieje!... Wciąż się palą panowie, generałowie, wielkie „osoby“, co to nawet przystąpić do nich nie wolno było, i nikt ognia powstrzymać nie może...

Ludzie wałęsali się po nocy jak cienie, płakały dzieci, bydło nawoływało się po oborach. A ogień to się podnosił, to opadał, jak pierś zdyszana, rozrzucał się snopem, rozplýwał mgłą, i chmury kwitły na niebie jak róże.

Małanka dygotała.

— Idź spać — gniewał się Andrzej.

— To straszne, Andrzej...

— Co w tym straszego? Tak im się należy.

Ale Małanka nie mogła spać. Jeszcze długo tupotały nogi pod oknami, dolatywały czyjeś słowa, świeciły się maleńkie okienka, psy smutnie wyły.

Rankiem ponad wsią snuły się dymy i lechtały w nosie. Ludzie pociągali nosami woń spalenizny i zerkali na pański dwór.

Łukian Pidpara aż szerniał. Co noc zdejmuje strzelbę ze ściany i idzie w pole, pod gumna. Chodzi straszny, wysoki, włokąc za sobą cień, który oddzieliły odeń ognie pożaru, i wciąż nasłuchuje. Oczywiście

spod krzaczastych brwi patrzą daleko przed siebie, a uszy czujnie wchłaniają najłabszy dźwięk. Obszedł oto naokoło stodołę i raptem staje: coś czernieje na polu.

— Kto tam?

Pole milczy, zmordowane po lecie, śpi jak zabite, rudawe, obdarte.

Pidpara znów chodzi. Stamtąd, z ognistego morza, idą nań wszystkie strachy i kłopoty, a on mocniej tylko ściska strzelbę i rzuca w paszczę nocy:

— Kto idzie? Stój, bo strzele!

Stoi mocny jak ze stali i mierzy w mrok.

Nikogo nie ma, czy też przyczało się?

Strzela.

„Och-och-och!...” Jęczą ciemności nad polem i głośniejsz zaczynają wyć psy we wsi...

A Pidpara znowu chodzi, pilnuje stodoły, srogi i nieulekły, gotów bronić swego nie tylko strzelbą, ale i zębami.

* * *

Deszcze lały codziennie. Słońce wyskoczy na chwilkę na błękitną polankę, aby się obsuszyć, przejrzy się w kałuży — i znowu nasuwają się na nie ciężkie, potargane chmury. Jakieś żółte, mgliste dni rodziły się po niespokojnych nocach, a ludzie kryli się pod świty i płachty, wywracali czapki kozim włosom na wierzch i człapali wciąż po błocie. Dawniej słońca zapędzała ich do chałupy, teraz zaś coś ich stamtąd wypychało do ludzi. Każdy chciał widzieć ludzką twarz i słyszeć czyjś głos. Mało sypiali po nocach. Jedni nie mogli oderwać oczu od dalekich pożarów, inni pędzili bydło na pańskie pole i nie spali, chcąc być w pogotowiu. Prawda, potem, kiedy to ekonom ledwie uciekł z pola w porozrywanej odzieży,

nikt się nie ważył zajmować koni, i te smakowicie gryzły sobie młodą ruń, obmytą deszczami.

Ludzie jak gdyby zapomnieli o swojej codziennej pracy. Mało kogo obchodziło własne pole. Wydawało się ono takie maleńkie, nędzne, niewarte zachodu, i leżało odłogiem — nieobsiane, a nawet niezaorane.

W gminie wciąż było pełno: siermięgi tak szczelnie przytulały się do siermięg, że aż para szła od mokrej odzieży. Wieści i pogłoski, które nie wiadomo skąd się brały, mieszały się razem, w oczach rosły jak ciasto w dzieży. Suche, niewyspane oczy zazierały każdemu do ust, ucho uważnie chwyciło rzucone słowo. Co będzie? Jak będzie? Wszędzie naród powstał, burzy się, czegoś żąda, robotnicy strajkują, porzucają fabryki, koleje nie chodzą. Czemuż to oni mają siedzieć, założywszy ręce, czekać, żeby się o nich ktoś zatroszczył? Ci, co nadeszli później, gromadzili się przed gminą i tłoczyli u drzwi.

— O czym tam oni gadają? Trzeba, żeby wszyscy słyszeli.

— Widzicie, że ciasno. Nie pomieszczą się...

Gdy przechodził który z bogaczy, Mandryka lub Pidpara, mokrący koło ganku ludzie zaraz go brali na języki.

— Wejdz, usłyszysz, jak tam twoje grunta dzieła.

— Nie słuchaj, bo ci sadełko spadnie z żalu.

— Nic mu nie będzie! Nim z bogatego puch, to z biedaka duch...

— Biedak gubi, a bogaty zbiera.

— To nic. Wszystko przejdzie. Jeszcze i świnia na niebo spojrzy...

— Jak ją będą opalać...

Mandryka nadrabiał miną, śmiejąc się i prędko przebiegając nogami mijał, skulony, gminę. Jakby za-

— pomniał, że przecież jest sołtysem. Pidpara marszczył brwi i kłął.

Huszcza często gdzieś znikał. Wracał, cały ubłocony, zmoknięty, ale wesół. Hafijka spotykała go za ogrodem Pidpary.

— Byłem na stacji. Strajkują. Kolej już drugi dzień nie idzie. Robotnicy zebrali się i radzą. Ho, ho, to ludzie! Trzeba i naszych zwołać.

— Zwołajcie. Prokop też radzi.

— Nie można tracić czasu.

— A gdzie zwołać?

— Może w lesie za parowem.

— I ludzi z Jamiszcz sprowadźcie.

— Wszystkich zwołamy!

Marko chciał iść.

— Czekaj, coś ci pokaże.

Hafijka nagle zarumieniła się i stała niezdecydowana.

— Co takiego? Pokaż.

Hafijka odwróciła się od Huszczy i coś wyciągnęła zza gorsecika.

— Trzymaj.

Wziął za róg, a ona rozwinęła czerwoną kitajkę.

— „Ziemi i wo...”

— Jeszcze nie dokończyłam.

Zawstydziła się, aż jej łzy błysnęły w oczach.

— To tak... Może przyda się kiedy... Maryjka popruła nową spódnicę i wyhaftowała drugą chora-giew, jeszcze ładniejszą...

I raptem umilkła.

Oczy jej nieśmiało zerknęły na Marka.

* * *

Ciepła mgła słała się po polu i wypełniła parów po same brzegi, drzewa całkowicie tonały w niej. Czy to pień czerniał w lesie, czy też człowiek mają-

czył, trudno było odgadnąć. Tylko tam, gdzie ramię dotykało ramienia lub czuło się z tyłu gorący oddech, ludzie na pewno wiedzieli, że nie są samotni, zebrani odczuwali tylko, że z mgły wciąż wlewa się do lasu żywy prąd ludzi jak woda do doliny, że lawa rośnie i zbiera się do kupy.

— Kto tam przyszedł?

— To my, jamiszczanie.

I znowu płynęło i miękko szeleściło w lesie...

— Kto tam?

— Nie bójcie się. Swoi.

Już się czuło, że i daleko tak samo jak tu oddychają piersi, ciało dotyka ciała i coś żywego jedno- czy bliskich i dalekich jak fala jednoczy pojedyncze kropelki. Czasem ktoś wykrzesi ognia zapalką — i na chwilę wytknie się z ciemności z dziesiątek szarych oblicz, wzdrygnie się mleczna mgła i zakołysze się jak ornat w kościele żółta gałązka jesienna.

— Na co milczeć? Niech gadają...

— Mówcie... Mówcie...

Olbrzymie cielsko kołysało się we mgle i od skraju do skraju jedna i ta sama krew tętniła w żyłach.

Obojętne, kto mówi. Byle usłyszeć coś takiego, co by spoilo w jedno rozproszone myśli, zlało nadzieje w jeden potok i wskazało, dokąd płynąć.

Ziemia!

Zadźwięczało słowo jak wysoka struna i nastroiło serce.

Dawne, znajome i bliskie słowo. To nie jest ten szary skrawek, co jak pijawka wysysa z ludzi siły, a sam rodzi chwasty; to jest coś czarownego, wabiącego, co od wieków nęci udręczoną duszę, przelewa się, mieni się w słońcu jak marzenie, jak coś niewysłowionego, od czego zmieniałyby się dola i wyżej wzniosłyby się wody życia ponad brzegami.

Ziemia — dar boży jak powietrze, jak słońce...

Ziemia dla wszystkich. A któż ją posiada?

A któż ją posiada? Pan, bogacz.

Jest pole w rękach bogaczy i jest ubogi chłop, co nic nie posiada poza rękami i nogami. Tylko swoje cztery kończyny...

We mgle, to tu, to tam niby wysepki wybuchały głuche głosy.

„Teraz dajmy na to tak: mnie jest potrzebna ziemia, bo swojej nie mam, i tobie jest potrzebna... A pan widzi, to i śrubuje cenę...”

„Nie pan śrubuje, ale sami bijemy się o dzierżawę, bo jak ty nie weźmiesz, to ludzie wezmą. Nikt nie chce z głodu ginąć — toż i płacisz...”

„Wszystko jedno giniesz... Ziemia nie zwraca wydatków, nie chce rodzić głodna. A co urodziła, wszystko pan zabrał...”

„Przepadła twoja praca... A za rok znów idziesz do pana, sam się oszukujesz...”

„Strasznie jest oglądać widmo śmierci...”

— Słuchajcie, słuchajcie! Przestańcie już tam!

— Ziemia należy do pracujących. Kto dał bogatemu jego bogactwo? My, chłopci. I skąd zdobył siłę? Z nas, chłopów... Dziadowie nasi, oicowie i my sami całe życie harujemy na pana. Czyż nie zarobiliśmy sobie ziemi?...

I znów wśród mgły dźwięczały tu i ówdzie rozmowy jak zaczepione struny.

„Podatek płać, rekruta daj, żeby ziemi naszej przed wrogiem bronił... A czegoż tu bronić, kiej ziemi wcale nie mam! Zrób z początku tak, żebym ziemię miał, a wtedy już bierz rekruta, jak ma czego bronić...”

„Zrujnujmy wysiedzone gniazda jak robią inni, wykurzmy bogaczy, żeby nie odważyli się więcej

wracać, wtedy gromada wolniej odetchnie, wtedy będziemy mieli ziemię...”

Panas Kandziuba nie mógł ustać w miejscu. Już kilka razy krzyknął: „Ludzie! Chrześcijanie!”, ale nikt go nie słuchał.

— Milcz, bo zawadzasz!

A on już wylazł na drzewo, ciężki w swojej siermiedze niby niedźwiedź, aż gałązki chrzęściły.

— Ludzie, chrześcijanie!

— Kto tam gada?

— Bo ja wiem...

— Chrześcijanie, długośmy cierpieli. Prawda jest, że pany z tłustymi brzuchami za ludzi nas nie mają, jak te lwy ryczą na chłopą; cały lud zrujnowali, a jeszcze ganiają za nimi z żołnierzami i z różnymi siepaczami. Jak gdyby za zwierzęciem. Ale pocierpmy jeszcze trochę. Poczekajmy na wielką łaskę i sprawiedliwość.

— Od kogo?

— Wiemy już. Dostyc czekaliśmy!

— Urwała się cierpliwość! Skończyła się!

Panas już zszedł z drzewa na ziemię i z miną winowajcy obracał się do sąsiadów.

— A ja co? Ja się zgadzam... Ja się na wszystko zgadzam... Jak ludzie...

— Znalazł się mądrała, pocierpmy, powiada.

— Uspokójcie się — niech gada, kto zaczął.

— Mów, Huszczo!

W dole szumiało, jak gdyby potok podczas powodzi toczył po rzece kamienie i rył brzegi.

A spoza mgły jak gdyby zza chmury płynął głos i padał między ludzi.

— Cała ziemia jest od wieków nasza, bo każda grudka, każda piędź, oblane są potem, znawożone krwią pracujących. Odbierzmy ziemię i wtenczas

każdy pracujący będzie miał chleba do syta dla siebie i dla dzieci.

Oto jest owo słowo: odbierzmy ziemię!

Słowo padło wśród takiej ciszy, że słyhać było jak w gniazdkach układało się do snu ptactwo lub przez sen trzepotało skrzydłami o wierzchołki drzew.

Odebrać ziemię!

Te dwa słowa dotychczas spoczywały na dnie każdego serca jak utajony skarb, a teraz wydobyte stamtąd, jak gdyby ożyły nagle i wołały: chodźcie za nami, poprowadzimy was!

Nie rujnować i nie palić, lecz odebrać. Ogień nigdy nie odda już tego, co pochłonał. Chodźmy i odbierzmy swoje, krzywdą zagarnięte u nas i u naszych ojców. Odbierzmy swoją krwawicę, swój chleb, dla zbyt ków oderwany od głodnych ust.

Piersi tak szeroko odetchnęły, że aż poszum rozległ się po lesie.

Wielkie cielsko rozrastało się jak gdyby prosto wało zeszywniałe nogi, ściernięte ręce. Odczuło w sobie siłę. I wieściło w nim jak dzwony na wielkanoć: „Będzie ziemia... Odbierzemy ziemię...”

Tę samą ziemię, co jak dalekie marzenie tylko wabiła, a nie dawała się w ręce, co mieniła się przed oczyma jak daleki miraż podczas upału...

Teraz już ona blisko, wyciągnij tylko ręce i zabieraj.

Ludziom nie chciało się rozchodzić z lasu, rozczłonkować na kawałki potężne cielsko...

* * *

We wsi było niespokojnie. Minał tydzień od owej nocy, gdy na zebraniu w lesie postanowiono zagarnąć pańską ziemię, lecz ludziska ociągali się. Wszyscy z napięciem czekali, ale na co — nikt dobrze nie wiedział. Jedni mówili to, drudzy owo, i z tych roz-

mów spletała się jakby siatka bez początku i końca. Kolej strajkowała, robotnicy strajkowali, wszędzie było głucho, niewyraźnie, jakoś pusto i tylko gawrony łańcuchem skrzydeł łączyły wieś ze światem.

Naokoło coś się stawało. Jak gdyby nadciągała chmura gradowa, ale skąd przyjdzie, gdzie spadnie, na co się zwali — nie wiadomo. Ciężko było wszystkim i trwożnie oddychać w one pochmurne dni i niespokojnie przechodziły długie noce jesienne. Gdyby ktoś krzyknął na alarm, gdyby niespodzianie uderzył dzwon lub huk wystrzału przeszył gęste powietrze, ludzie powybiegaliby z chat i na oślep rzucili się na siebie.

Hafijka nie mogła sypiać po nocach. Gdy się tylko ściemniło, Pidpara zasuwał rygle u drzwi od sieni, długo próbował, czy dobrze zamknięte i pierw jej się położył, zdejmował strzelbę oraz kładł obok siebie siekiere. Światło gasło, ale Hafijka wiedziała, że gospodarz nie śpi. Słyszała, jak niespokojnie przewracał się na ławie, ciężko sapał, siadał i nadśluchował. Później układał się znowu i leżał przywarawawszy, ale raptem zrywał się i szukał ręką po podłodze, póki nie znalazł siekiery. Znowu robiło się cicho na kilka chwil, pod ławami piszczały myszy, które się już przenosiły na zimę do chaty, i karaluchy z szelestem staczały się do misek na półkach. Ale Pidpara nie spał. Hafijce się zdawało, że widzi jego rozwarłe oczy tępo wbite w mrok.

Wreszcie Pidpara wstawał i wychodził. Hafijce kołatało serce i do taktu jego uderzeń tupały nogi Pidpary koło stodoły, na gumnie, skrzypiały po przemarzłym błocie pod ścianami chaty.

Czasem gospodarz wybierał się na noc w pole do śpichrzy. Wtedy znów gospodyni tłukła się caluteńką noc, strach ją brał, jęczała, wzdychała i szuragała starymi kapiami od okna do okna.

Hafijce nieraz było tak ciężko, że prosiła, by ją puścili na noc do domu.

Małanka nie kładła się wcześniej. Andrzej wciąż bywał gdzieś u ludzi i późno wracał, a Małanka po całych wieczorach snuła marzenia. Coś będzie. Przyjdzie coś dobrego i odmieni życie. Coś się stanie nagle, nie dziś, to jutro. Cud jakiś. Nic jej się nie chciało robić i, założywszy ręce jak w niedzielę, haftowała z myśli wymyślne desenie. Razem z Hafijką stawały w sieni na progu i długo patrzyły, jak wszędzie we wsi świeci się w oknach. Tam w każdej chacie ludzie wyczekują na coś, są w pogotowiu jak ten suchy chrust, który dość tylko podpalić. W każdej chacie kwitnie nadzieja, rosną spodziewania.

I pewnie nigdy jeszcze nie wychodziło tyle światła, jak w te długie a niespokojne noce jesienne.

* * *

Wiatr gnał, z rozpędu rwał włosy i dym, a słońce, blade i zbiedniałe, wysypało zza chmur na ziemię resztki swego złota.

Hafijka chwyciła bieliznę, rozrzuconą po podwórzu jak stado białych gęsi. Koszula gospodarza, wydepta od wiatru, toczyła się okrągła niby brzemienne kobieta i rękawami czepiała się ziemi. Wiatr świszczwał Hafijce w uszy, a dziewczynie zdawało się, że ktoś na nią woła.

Nie, wołają naprawdę. Obejrzała się.

Od wrót kiwał na nią ręką Prokop.

— A co tam?

Nie słyszała, co Prokop mówi.

— Co tam, Prokopie?

— Dawaj swój sztandar!

Za wrotami było pełno ludzi. I Małanka z chudymi rękoma, i ciężki Panas Kandziuba, i dzieci, które skakały pod płotem jak wróble.

— Dawaj prędzej!

Co się stało?

Hafijka rzuciła się do chaty.

Kilka rąk wyciągnęło się do Hafijki, ale Prokop sam wziął kitajkę.

Już przywiązywał czerwoną chustę do drążka.

Tłum huczał niecierpliwie. Doczekali się jednak! Manifest przyszedł.

Pidpara stał na progu chaty; czarny jak cień, podparł plecami odrzwia i patrzył w milczeniu.

Wreszcie wzniesiono sztandar. Czerwona chusta załopotiała na wietrze, a na niej jęły skakać słowa jak żywe:

„Ziemia i wolność!“

Wszyscy podnieśli oczy do góry i coś niby westchnienie przeszło po całym tłumie.

Ruszyli dalej. Hafijka zapomniała o wszystkim. Szła w ciżbie jakby senna. Coś się stało. Prawda, że coś przeczuwanego, wymarzonego, ale nie pojowanego jasno. Manifest jakiś.

Obok niej szedł Prokop. I zdawało się dziewczynie, że naraz wyrósł. Jego wielkie spracowane dłonie spokojnie leżały na drążku, nogi stąpały mocno.

Z szarego pogwaru tłumy wyrzywały się oddzielne słowa.

— Chwalić boga, doczekali się ludzie...

— Będzie dla wszystkich, dla wszystkich wystarczy — dzwonił głos Małanki. Wiatr porywał te słowa i odrzucał dalej.

— Dla wszystkich wystarczy, nasza ziemia...

— Tak to, panie dobrodzieju: nosił wilk, ponieśli i wilka.

Mleczne wasy na czerwonej twarzy Andrzeja siedziały jak dwa gołabki.

Panas Kandziuba promieniał.

— Ouzjemy, Andrzeju, pana w postoly!

— A pewnie!

Pod płotami czerwone nogi dzieci rozpryskiwały błoto.

Dzieci zabiegały do przodu i piskliwie krzyczały:

— „Ziemia i wolność! Ziemia i wolność!“

Sztandar trzepotał się, jak gdyby płonął na wietrze. Ludzie powychodzili z chat. Zdejmowali czapki, żegnali się i przyłączali do tłumu. Ci, co szli z przeciwka, zawracali.

— Do gminy! Tam manifest.

Ludzie mieli w sobie coś nowego. Głębokie oczy gorzały na szarych twarzach jak w cerkwi światło po ciemnych zakątkach. Hafijce się zdawało, że każda duszę, każdą myśl ludzką tak samo jasno widzi, jakby swą własną. Było coś uroczystego w łopocie chorągwi, w cichym smętku jesiennego słońca, w niespokojnie rozjaśnionych obliczach. Jakby w ciemną wiosenną noc topniały w rękach woskowe świece i chórem płynęło aż ku gwiazdom „Wesoły nam dzień dziś nastał“.

Raptem pierwsze rzędy stanęły. Na zakręcie wypłynął drugi potok i przeciął drogę. Tam też był czerwony sztandar na przedzie.

Prokop wysoko podniósł swoją chorągiew.

— Ziemia i wolność!

— Ziemia i wolność! Winszujemy święta.

— Nawzajem!

Wszyscy stłoczyli się razem.

Małanka ścisnęła już kowalową.

— Kumo, kumciu...

Nie mogła mówić.

Ucałowały się. Suche ręce Małanki trzęsły się na tłustych bokach kowalowej.

— Dzięki bogu, dzięki...

Wiatr zerwał kowalowej łzę z koniuszka nosa.

Ruszyli dalej. Teraz dwie chorągwie połączone popłynęły obok siebie. Falowały i wyginały się jak uskrzydłone przez podmuch płomienie...

Ludzie tak gęsto oblepili gminę, że siermięgi zwały się w jednolitą masę i nie było czym oddychać. Huszcza coś odczytywał stojąc na ganeczku. Już zmęczył się, ochrypl, ale ci, co dopiero nadeszli, też chcieli słyszeć. Dalsi powyciągali szyje, poprzykładali dłonie do uszu. Stojący na przedzie nie chcieli nikogo przepuścić, sami chcąc usłyszeć jeszcze raz. A ludzie wciąż nadchodzili i jedni napierali piersiami na drugich.

— Co on czyta? — Wolność, swoboda, a gdzie ziemia?

— Czyż nie słyszysz? On przecież tylko wciąż o ziemi czyta.

Niską Małankę całkiem wypchnięto. Dobrze jej, zupełnie dobrze w ciepłe ludzkich ciał, w wyziewach potu. Nawet nie słucha. Co tam! I tak wiadomo. Już o tym wszyscy wiedzą, że ziemię oddano ludziom. Lepiej, zamiast tu stać, pojsć gromadą na pańskie pole i puścić na nie pługi. Prędzej zobaczyć, jak one krają te niezmierzone niwy, odwracają skiby, obdarzają ludzi. To twoje, a to moje. Żeby tylko wszystkim jednakowo. A oni tu stoją! Patrzcie! Nawet Andrzej trzyma w górze okaleczoną rękę przed ludźmi, by i o nim nie zapomnieli. A czyż to dawno przeklinał ziemię? No, ale skończone. Teraz ma serce pełne dobroci, nie pamięta uraz, nie ma żalu do Andrzeja. Ziemia uśmiecha się do niej, woła na nią: o, jak to gra pod słońcem rudym ścierniskiem!

Koło gminy zgromadzili się wszyscy.

We wsi pusto. Brudne drogi snuły się bezludnie między chatami, jakby się czołgały czarne żmije, wiatr skubał słomę ze strzech, a na rozkopane ogrody spadały chmarami wrony.

Jakaś kobieta wyszła z chaty, chwyta się ściany i krzyczy w pustkę:

— Gdzie ludzie? Pali się co?

Nikt jej nie odpowiedział. Tylko wiatr rzucał drzwiami opustoszałych chałup, krowy chodziły samopas po podwórkach i gryzły się psy wśród wirowiska suchych liści.

Ludzie pomału wracali z gminy.

Idzie dwóch:

— Słyszałeś? Wolność, ale jaka wolność?

— Czy ja nie wiem? Panów bić.

— Jam zrozumiał od razu. Wolność dali, żeby biedny naród panów wyniszczył. Tych, co z ludzkiej pracy żyją...

Kobiety:

— Jak zaczną rozbierać pański folwark, ja wezmę tylko czerwoną krowę.

— A mnie by się przydało parę gęsi do chowu. Takie ładne gęsi...

— Będzie co brać. Nie my zabierzemy, to wezmą obcy, a przecież to nasz pan...

— Pewnie. Nie dajmy swojego nikomu.

Nagle na ulicy rozległ się śpiew. To śpiewali chłopcy mijając chaty bogaczy. Zatrzymywali się, wznosili do góry sztandar i wołali na cały głos:

— Ziemia i wolność!

Niech chociaż usłyszą, jeśli się pochowali. To dla nich jak dla psa pieprz...

Huszczycy i Prokopa mało nie rozerwano. Jakże to będzie? Czy prędko grunta podziela? A kupioną ziemię czy zabiorą?

Marko aż ochrypl, ledwie nadażył odpowiadać, a Prokop był jak zawsze spokojny.

Małanka chwytła go za pole.

— Prokopie, posłuchaj no... To ja, Małanka. Poczekać, ludzie, dajcie mi powiedzieć. Słyszysz,

Prokopie, słyszysz... niech mi bliżej odmierzą, tam gdzie pszenica rodzi... Pamiętaj, nie zapomnij!... Słyszysz, Prokopie, co?

Nachylała się, sucha i malutka, ogarnięta jednym przemożnym pragnieniem.

* * *

Co dzień jakaś nowina. Tam folwark doszczętnie zrujnowano, tam gorzelnię lub cukrownię spalono, gdzie indziej wycinano pańskie lasy, orano ziemię. I to uchodziło płazem. Panowie uciekali, niknęli wśród ludu jak słoma w ogniu. Wiatr co dzień przynosił świeże dymy, a ludzie świeże opowieści — i nikt się więcej nie dziwował. Co wczoraj było bajka, dziś jest rzeczywistością: cóż to dziwnego? Prawda, gorzelnia pańcza Lola i pański folwark budyły oczy. Na co ludzie czekają?

— Czyśmy gorsi od innych? Przecie jużemy się zmówili.

Niezadowoleni trafiali się, ale Prokop i Huszcza brali górę.

Jednak wieczorem niektórzy zaprzęgali konie i z pustym wozem wymykali się ze wsi. Chodzili też gdzieś ludzie na piechotę: z workiem na plecach i siekierą za pasem ciągnęli przez pola do wsi sąsiednich po pańskie dobro. Po nocach rozmiękła droga bezustannie jechały fury z workami ziarna, kartofli, cukru. Ci, co wyszli pieszo, wracali wierzchem na pańskich koniach lub prowadzili krowy. Nazajutrz wysypiali się do południa i tylko po zabłoconych kołach poznawali sąsiedzi, że ten lub ów jeździł w nocy na zdobycz. Nieraz dzieci bawiły się nowymi cackami, szkłem z flakonów, klamkami od drzwi, lub młoda mężatka, ku zazdrości innych, szła wspinały czepiec z materii, którą się u państwa obija meble.

Chodziła i Małanka.

— Ledwie przywlokła worek mąki, zasapała się i teraz stęka.

Andrzej zajał smaczne placki i wciąż je wychwalał, ale Małanka nic do ust nie brała.

— Czemu nie jesz? — dziwił się Andrzej.

— Nie mogę. To cudze.

— To po coś brała?

— Wszyscy brali, wzięłam i ja.

Mąka zawadzała Małance niczym nieboszczyk w izbie; nie wiedziała, gdzie ją podziać.

Bogacze przycupnęli. Tak jakby ich we wsi nie było.

— Jakoś naszych głowaczy nie słyhać, strach ich obleciał, po chałupach siedzą — śmiali się ludzie.

Ale nie milczeli bogacze tam, gdzie byli kupa...

Panas Kandiuba po powrocie od siostry z Piasków opowiadał:

— Przychodzę na wieś; dzień powszedni, a ludzie do cerkwi idą. Zatrzymali mnie i pytają — kto jestem, po com przyszedł, do kogo. Patrzą, jak na złodzieja. No, dobrze. Szwagier też w cerkwi. Patrzę ja na siostrę — a ta ledwo się na nogach trzyma, oczy ma czerwone i mętne. Ach, boże... — Co ci, powiadam, słabaś? — A ona w płacz. — Nie słabam, powiada, boję się. Od niespania zmarniałam. Piątą noc nie śpimy, nie gasimy światła, pilnujemy jedno drugiego, żeby się nie zdrzemnąć: czekamy podpalaczy. — Kogóż wyczekujecie? — Golców. Powiedzieli: czekajcie na nas, będziemy palić... Żeby nie było ani biednych, ani bogatych, tylko sami średni. Ludzi strach wziął. W dzień to jeszcze jako-tako: wiadać, kto idzie, kto jedzie; ale jak przyjdzie noc — pilnujemy się. Mój wyszedł wczoraj na wieś, słońce już zachodziło, kiedy naraz ktoś leci na koniu. Zaraz poleciał na dzwonnice, uderzył w dzwony. Aż mi serce

zamarło. Nikt inny, jeno podpalacze. Ludzie się zbiegli, pościgali tamtych z koni i odprowadzili do gminy. — Chcieli spalić nas? Bić ich! — Tamci w krzyk: — Sami, powiadają, jedziemy szukać podpalaczy, co pouciekali. — Nikt nie wierzy. Dopiero ich cerkiewny starosta uratował. Gdyby nie poznał, było by już po nich... Tak opowiadała siostra, a sama aż dygocze. Ach, boże, boże!

A tu szwagier nadszedł z cerkwi. Sińce ma pod oczyma, widać zmęczony. No, dobrze. — Jakie dziś macie święto? — pytam. — Nie ma żadnego święta, ludzie nabożeństwo na dzisiaj zamówili, żeby pan bóg nieszczęście od naszej wsi odwrócił. W tych czasach tylko w bogu nadzieja...

Siedzimy sobie, gadugadu o tym i o owym, a szwagier coraz to się kiwnie: drzemie. Siostra też czasem otworzy oczy, dorzuci jakieś słowo. No, dobrze. Już się ściemnia — jaki tam teraz dzień! — zjedliśmy wiesz, światło się pali. Czas by iść spać — ale nie śpią. Wyszedłem z chałupy — wszędzie światło w oknach, nikt się nie kładzie... Ach, boże... Tak mi jakoś strasznie. A nasi siedzą. Zaskrobie pod ławą mysz — a oni już nasłuchują. Późno, dawno przeszła pora do spania, ale nikt nie śpi. Słyszemy, że pieją koguty, a przez okno widać jak po całej wsi pobłyskuje światło. Gdy raptem — buch! Strzelił ktoś z fuzji. Aż się rozległo po całej wsi. No, dobrze. Siostra jakby do miejsca przyrosła, tylko się rękoma za piersi chwyciła, a szwagier zerwał się — i do sieni. Porwał żelazne widły — i jazda! Ja za nim. Biegnę i widzę, jak ludzie z chałup wylatują, a każdy trzyma, co mu w rękę wpadło... Jeden widły, drugi strzelbę. Ach, boże... Dokąd lecieć? Gdzie i kto strzelał? Wybiegliśmy za wieś: stoją jacyś ludzie. Rzucili się nasi bić ich, nawet nie pytając. Tłukli na śmierć, gdzie kto trafił, bili, dopóki nie odpędzili. Do

samego świtu nie spał już nikt, a rano poszli oglądać. Ośmiu leżało już na amen, a jeden był jeszcze ciepły, jęczał... Ach, boże.

* * *

Zebranie było wyznaczone przed gminą. Huszcza przyszedł wcześniej. Niespokojnie chodził koło ganku i wciąż wyglądał. Prokop już był na miejscu.

— Czegoś nie schodzą się — martwił się Marko.

— Jeszcze za wcześnie; nadejda.

Jednak i Prokop był niespokojny. Nie łatwo było uspokoić ludzi. Naokół słyszało się o napadach i widziało pożary, które przeleciały po wsiach jak pałaca wichura, co wszystko porwała w swój wir. Ludzie nie chcieli wyróżniać się od innych, od swoich sąsiadów, i potrzeba było wielu wysiłków, aby ten ruch powstrzymać. Ale Prokop i Huszcza przemogli. Przekonali, że dobra ludowego nie trzeba palić i rujnować. Nie pan stawiał budynki: chłopskie ręce przykładały bal do bala, belkę do belki, a teraz wszyscy powinni mieć z tego korzyść. Dziś miało się pokazać, po czyjej stronie zwycięstwo: czy ludzie pójdą za nimi, czy też za Chomą, który namawiał, aby niszczyć wszystko i wszystko palić.

Gromada schodziła się powoli. Zjawił się Semen Mażuha na czele całej kupy. Panas Kandziuba też prowadził gospodarzy. Majdan wypełniał się i zaczynał szumieć. Marko ścisnął wszystkim ręce. Coś go dusiło w piersiach, podtoczyło się do gardła; nawet głosu swego nie poznał, gdy go usłyszał.

— A sztandar przynieśliście?

— Jest tu — odezwał się Mażuha i, rozwinąwszy sztandar, wznosił go do góry.

— Więcej nikt nie przyjdzie?

— Pewnie wszyscy już są.

Można było ruszać. Ale jeszcze stali.

Dopiero gdy sztandar drgnął i powoli popłynął w powietrzu, ruszyli z miejsca i poszli. Nogi szurały po błocie, jakby cicho raki chrobotwały w worku, a powykrzywane chałupiny, nędzne, odrapane, ze zdziwieniem patrzyły na ten pochód.

Drzemie pańskie podwórze, senne i puste. Tak jakby tam nikogo nie było. Tylko psy zawarczały i wnet pochowały się. Ludzie wlekli się na podwórze przez bramę, niby woda przez szyjkę butelki. Furman stanął na progu stajni. Huszcza kazał zawołać pana.

— Pana nie ma.

— A gdzie jest?

— Uciekł w nocy.

Tłum zafalował.

— Uciekł? Dobrze! Niech wyjdzie ekonom.

Jan wyszedł z kancelarii, błądy, z gołą głową. Jego zimne oczy niespokojnie biegały po tłumie. Cofnął się bezwiednie. Ale Huszcza zatrzymał go, wyciągnął z kieszeni papier i zaczął rozwijać.

Wśród wielkiej ciszy słyhać było tylko szelest kartek. Zdawało się, że Huszcza za długo to robi. Nareszcie odkasnął, zebrał się w sobie i począł czytać wysokim, obcym trochę głosem.

Wszyscy już znali ową uchwałę, lecz w tej chwili wydawała się ona nową, poważną, jakby słowa, które głoszone w cerkwi. Tak, tak. Już wiedzieli, że od dzisiaj ziemia nie pańska a ludzka, że ludzie ją panu odbierają z powrotem na swoją własność. Te rolę, co ją świętą uczyniła praca rąk dziadów i wnuków.

Wszyscy słuchali w milczeniu z zapartym oddechem.

Prokop skończył i zwrócił się do Jana:

— Tyś nam niepotrzebny. Pakuj się, i jazda stąd!

Jan chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł, tylko bezdźwięcznie poruszyły się jego zbieiałe wargi i drzące ręce czegoś szukały.

Zatoczył się jak pijany i poszedł do kancelarii.

Ale niedługo tam siedział. Po minucie wyskoczył, z łękiem spojrział na tłum i krzyknął ochryple:

— Musiju! Założ do bryczki!

Panasa Kandziubę to ukłuło.

— Do bryczki! A w deskach do gnoju nie łaska?

Słyszecie, ludzie, bryczki mu się zachciało...

Tłum jakby się przebudził. Ten i ów roześmiał się.

— Widzieliście go, jaki pan. Czego mu to się zachciało... Oho, już państwa nie ma.

— Nie dawać bryczki!

— Szykuj, Musiju, wóz.

— Od gnoju!

Musij rzucił się do wozu.

Lecz Jan zrezygnował z jazdy.

— Nie trzeba koni. Puśćcie, pójdę pieszo.

— Z panem bogiem!

Ekonom nacisnął czapkę i jakoś bokiem przepchnął się przez tłum. Jego oczy, niby znienacka przyłapanie myszy, trwożnie spoglądały na każdą twarz, ręce były w pogotowiu, by się bronić, nikt jednak go nie zaczepiał. Wreszcie, gdy Jan wyszedł za bramę, wszystkim ulżyło jak gdyby proch z oka wypadł.

Należało przyjmować folwark.

— Jak będziemy przyjmowali?

— Obierzemy trzech. Niech gospodarzą. Potem zobaczymy.

— Dość będzie trzech. Prokopa, Huszczę, może i Bezyka...

— Nie, lepiej Mażuhę...

— Piszcie uchwałę!

Oleksa Bezyk wyniósł na środek podwórza stół. Huszcza siadł przy nim.

Na świecie pochmurny poranek jesienny. Wszystko w nim było szare: szare niebo, dalekie pola, goły sadek wiśniowy za domem, budynki i ludzie. W powietrzu mocno trzymała się woń końskiego nawozu i zapach świeżych jabłek.

Było gwarno. Małanka nikomu nie dawała spokoju. Trzeba by pisać, żeby prędzej grunta podzielono. Na co czekać? I tak długo czekają. Niechby już każdy wiedział, co mu się należy. Błyszczą jej oczy. Naprzykrzała się wszystkim. Zapach jabłek łechtał powonienie. Czemu by nie zjeść? Chociaż to dobro ludowe, jak powiada Huszcza, ale w pańskim domu chyba wiele jest rzeczy na które chętka bierze. Nalewki, miękkie poduszki, wszelkie naczynia i dziwne drobiazgi, jakich chłop nawet nigdy nie widział. To wszystko ma tam zostać? Kobiety zaglądały do okien. Gospodyni dworska, jakby się domyśliła, wyniosła z piwnicy dwa koszyki jabłek i częstowała wszystkich.

Tymczasem Huszcza skończył. Ludzie długo podchodzili i długo ciężkie, spracowane ręce gryzmoły kulfony albo stawiały krzyż, aby „mocno było“.

Prokop zwołał całą dworską służbę, odebrał klucze.

— Kto nie chce służyć gromadzie, może sobie iść!

Gospodyni i stangret nie chcieli. Nikt ich nie zatrzymywał.

Pomału na podwórzu zrobiło się pusto. Zostali tylko obrani: Prokop, Huszcza i Mażuha.

Pański majątek przeszedł do ludu.

Nikt tak szczerze nie dbał o „dobro ludowe“, jak Prokop. Po całych dniach biegał od stodoły do stajni, z obory na gumno, wydawał służbie ordynarię, obrok

koniom i ziarno dla drobiu. Wszędzie sam doglądał, wszędzie ład zaprowadzał. A wszystko zapisywał do książki, żeby wiadomo było, ile czego, gdzie i na co wyszło. Kręcił głową i dziwił się: jakie tu nieporządki! Nie, z pana gospodarz kiepski. Marnowało się dobro bez gospodarskiego oka. Trzeba zboże młócić, a maszyna dotąd nie naprawiona... Pługi pordzewiały, nie mają lemieszy, na koniach porwana uprząż. Wszystko wymaga pracy i pieniędzy, a tu grosza nie było. Wtedy naradzili się wspólnie i Prokop zawiózł na sprzedaż pszenicę. Wszyscy trzej zamieszkali w kancelarii w tych pokojach, gdzie dawniej mieszkał ekonom. Żona prosiła, aby Prokop nocował w domu, bo nieswojo czuła się w chacie bez gospodarza, ale on nawet słuchać o tym nie chciał: obrano go i tam jego miejsce.

Po nocach nie mógł sypiać. Wychodził z kancelarii, zapuszczał się w mrok jesiennej nocy i nasłuchiwał, jak naokoło podwórza kołatał stróż nocny. Było dziwnie i zarazem radośnie. O czym niedawno marzył jeno, stało się rzeczywistością. Życie uśmiechnęło się do ludzi. Sprawiedliwość odwróciła się w ich stronę. Nie będzie ani biednych, ani bogatych, ziemia wszystkich wyżywi. Lud sam swój los wykuje, aby mu tylko nie przeszkadzać. W tych pokojach, w budynku, gdzie dawniej mieszkał jeden nienasycony, zachłanny człowiek, teraz będą szkoły. Tu będą się ludzie zbierali, tam będzie czytelnia. Wyobrażenia malowała inne życie, noc się rozstępowała, okna gorzały światłem, gwar rozsadał ściany, podnosił piersi.

Jeszcze przed świtem Prokop budził parobków, dzwonił kluczami.

W jego rękę zawsze białała książka. Notował w niej każdą kopiejkę ludową, każdy drobiazg.

Ze wsi przychodzili ludzie.

— No, jak tam nasz folwark?

Wszyscy chcieli wiedzieć, jak jest prowadzone gospodarstwo, co robią zarządzający; co da więcej zysku: czy jeżeli podzielić grunta, czy też jeśli całą gromadą uprawiać rolę i potem już dzielić plon. Małanka prawie alarmowała, żeby prędzej podzielić. Tłumaczono ludziom, prowadzono ich na gunno, do obór i wspólnie radzono, jaki użytek zrobić z budynków.

— Tu szkołę warto by urządzić — mówił Prokop. Ale Huszcza sięgał dalej.

— Szkołę już mamy, załóżmy lepiej uniwersytet ludowy.

Ludzie zgadzali się na wszystko, na szkołę i na uniwersytet. Niechaj się i lud uczy — nie wszystko przecież dla panów!

Panas Kandziuba spoglądał na pole, które się wyciągnęło od bramy i wpierało w niebo, i wciąż wzdychał. Przykro mu było, że pan uciekł, że nie ujrzy „pana w postołach“.

A po polu wciąż snuły się jakieś ciemne postacie i czerniały na szarym niebie. To niecierpliwi wymierzali grunta, aby się przekonać, ile przypadnie na każdego.

Małanka, zgarbiona, w podkasanej spódnicy, jak czapla przestawiała nogi po lepkiej roli.

* * *

Choma śmiał się, śmiał się niedobrze.

— Pańskiego dobra pilnujecie? Cha-cha, pilnujcie, pilnujcie, żeby nie przepadło. Podziękuje pan, kiedy wróci. A jakże...

Zielonkawę oczy skakały mu jak żaby nad błotem.

— Myśli jeden z drugim, że jeśli pan uciekł, to już zginał. Akurat! Taki nie przepadnie. Sprowadzi pełną

wieś kozaków, a sam zaszyje się do ciepłego kąta. „Dzięki wam, ludzie, żeście przypilnowali.“ Na waszych plecach wypisze podziękowanie. Nie, jeśli macie już coś zrobić, to zróbcie tak, żeby nie miał chęci wracać, żeby mu pustka śmierdziała. Wykurzyć go dymem i ogniem... Wszystko z ziemią zrównać, aby gołe było jak ta dłoń.

Choma pukał grubym palcem w dłoń.

Ci, którzy śnili o pańskich krowach, rasowych gęsiach i innym inwentarzu, połykali jego słowa.

Bo przecież ma rację. Gdyby Huszcza nie wymyślał bóg wie czego, mieliby wszystko tak samo jak inni. Jeszcze nie wiadomo, czy grunta podziela, czy nie, a tymczasem jaką ma kto korzyść?

Andrzej podnosił do góry okaleczoną rękę.

— Gdzie sprawiedliwość? Tak to się z nami obchodzą! A my co?

I spoglądał na gorzelnię. Drażniło go to, że jeszcze stoi, dumnie wznosi komin i beztrósko bucha dymem, jakby się śmiała.

— Pan uciekł, a panicza Lola na nasienie zostawił. Niech sobie pędzi, panie dobrodzieju, gorzałę. He-he!

Choma gniewnie sapał.

— Ha, cóż! Będzie sobie stała, i co jej człowiek zrobi?

No, już tam Choma wiedział, co zrobić; dla niego sprawa krótka:

— Spalić!

I to „spalić“ świszczalo mu w zębach jak wiatr.

Cud prawdziwy, że gorzelnia dotąd stała na miejscu. Tylko w oczy kłuła. Wszędzie po wsiach było skończone z panami, wszędzie dymiły zgliszcza, a tu gorzelnia!.. Skądkolwiek spojrzeć — gorzelnia. To komin w oko wpadnie, to dym zwija się w powietrzu jak czarny kudłaty smok. Po nocach ryczy sy-

rena, świecą się okna jak wilcze oczy i wszystko zostało jak dawniej, nic się nie zmieniło. Cóż to za mara? Teraz chłopskie prawo, a nie pańskie. Wszędzie rozgromili panów i tak to się skończyło. Nawet obcy się śmieją. Gdyby nie Prokop i Huszcza, dawno by już był koniec. A panicz Lolo? Co mają z niego? Jak wysysał krew ludzką, tak nadal będzie wysysał. Andrzeja skrzywdził; czy czekać, ażeby i z innymi też stało się to samo?

Andrzej wyrzekał po dawnemu, ale teraz jego ręka stała się znakiem.

— Patrzcie, co z nami robią w gorzelni!

Brali go za rękę i uważnie oglądali kikut, jakby go widzieli po raz pierwszy.

Pański pastuch był wszędzie, a gdzie tylko się zjawiał, jego zielone oczy poruszały ludzi. Nawet stronników Huszczy.

— Czyż my gorsi od innych?

* * *

W środę było już wiadomo, że „to“ ma się stać w czwartek. Choma chodził od chaty do chaty.

— Jak uderzą w dzwony — wychodzić! Kto nie wyjdzie — podpale.

Mówił stanowczo: znać było, że nie żartuje.

W nocy z czwartku na piątek długo się po chatach świeciło jak w noc przed rezurekcją. Ludzie w milczeniu szykowali siekiery, drągi, żelazne szpadle. Oczy dzieci przypatrywały się z pieca każdemu poruszeniu dorosłych.

Nieraz, gdy szcęknał szpadel tracony przez kogoś lub upadł drag żelazny, wszystkich lęk przejmował: co, już?

Pośród ogólnego naprężenia i ciszy czasem zadrgało powietrze jakby odgłosem dzwonów.

— Tss! Cicho!

Przysłuchiwali się i nie wierząc własnym uszom uchylali drzwi od sieni lub wysuwali głowę za próg. Z nieba mżyło drobnymi zimnymi kropelkami. Było mokro, posepnie, cicho. Zdawało się, że tak będzie bez końca. Niechby już prędzej dali znak, jeśli już „to“ musi się stać. A może Choma skłamał albo zląkł się i teraz nic nie będzie? Wracali do chat, tłukli się z kąta w kąt i jeszcze raz oglądali przygotowany oreż.

Jednak niespodzianie uderzono w dzwony. Dźwięk spiżu wstrząsnął jesienną mgłą i rozsypał się po wszystkich zakątkach. Nareszcie! Wszystkim lżej się zrobiło. Wychodzili z chat, zbierali się w kupki i szli śpiesznie. Obudzone nagle z zimnego snu dzwony chrapliwie zwoływały i pędziły naprzód sękaty postacie zgarbione od nadmiernej pracy, tę w jedno z mrokiem stopioną masę ciężkich, workowatych ciał, pokrzywionych nóg, twardych jak drewniane młoty rąk.

Przed gorzelnią tłum się zatrzymał. Wielki mury dom, gdzie mieszkał panicz Lolo i mieściła się kancelaria, ciężko szarzał na czarnym niebie, zimny, zgasły, i tylko jedno okienko jaśniało słabo jak na wpół otwarte oko. Za to gorzelnia śmiała się bezczelnie rzędem czerwonych okien i dumnie buchała dymem.

Choma chodził wśród ludzi jeszcze niepewny, jakby nie wiedząc, od czego zacząć. A koło domu już był ruch. Ktoś biegł pod murem, wchodził na schody, i słychać było, jak trzasnęły drzwi. Potem okno zgasło i znów zajaśniało. Dzwony wstrząsały drobną jesienną mgłą, targały się, rwały, a w mroku tłum urywanie falował, tak jakby trzęsła się galareta.

Nagle otworzyły się drzwi i rozległo się z nich trwożne:

— Kto tam? Czego chcecie?

— To panicz Lolo... to Lolo!...

— Czego chcecie?

Choma wyszedł przed tłum.

— Aha! To ty? Ciebie nam właśnie potrzeba.
Pójdź tu! — i zaklął brzydko.

Maleńka, samotna na tle szarej ściany postać
Lola cofnęła się.

— Nie podchodź. Będę strzelał.

Ogień błysnął nad budynkiem jak zapalka, coś
ostro trzasnęło i ciężko potoczywszy się, rozłupało
noc.

Tłum ucichł i znieruchomiał. Spłoszony oddech
zapadł się na chwilę w pustych piersiach. Ale Choma
go podniósł.

— Oho! On jeszcze strzela! Bić go, bić!...

To „bić!“ sparzyło ciała jak batogiem, podniosło
nogi i popędziło naprzód— w ruchu ciał, w oddechu
piersi, w naprężeniu siły, która się raptem zbudziła
z drzemki jak pod lodową powłoką budzi się rzeka.
Ciemna sień zastękała od tupotu nóg i schody za-
drżały pod ciężarem stłoczonej gromady ludzi.

Gdzie Lolo? Nikt nie wiedział, czy jeszcze jest
czy może uciekł, czy może go już biją, czy dopiero
ujmują? Ciało napało na ciało i czuło na sobie go-
rący oddech, co pędził naprzód. U drzwi zrobił się
ścisk, a z dołu wciąż parli nowi. Drzwi były zam-
knięte. Choma rzucał się na nie barami, i w gęstym
mroku, gdzie nie było widać twarzy sąsiada, głucho
uderzały plecy, trzeszczały suche deski. Raptem
drzwi ustąpiły pod naporem i coś zionęło spoza
nich jak z czeluści. Tłum ruszył naprzód w czarną
próżnię.

— Poczekajcie, zaraz! — krzyknął Choma.
Minęła chwila.

I stał się cud, krótki sen, od którego wszystkich oślepiło: światło elektryczne nagle zalało wielki salon, jakby machnęło srebrnym skrzydłem; blask odbił się w podłodze, w ogromnych lustrach, w pozłocie ram. Białe firanki, jak chmurki na wiosennym niebie, z lekka chwiały się na oknach, zielone drzewka pochylały się nad jedwabiem mebli, etażerki z cackami lśniły na kształt carskich wrót w cerkwi, a fortepian o trzech nogach jak czarny potwór z bajki rozwarł szeroką paszczę i szczyrzył do światła białe, zdrowe zęby. Ta zmiana była tak raptowna, że wzburzony tłum zamarł i twarze zalały wszystkie lustra, ledwie mieszcząc się w ramach.

Ale Choma jednym ruchem obraz zmacił. Porwał drag i z rozmachem grzmotnął w fortepian. Aa-ach!..

Trzynogi potwór zgrzytnął i dziką gamą tonów, od żalonych do groźnych, ryknął pod sufit.. Wysokie zaś sklepienie pochwyciło ten ryk i rozniosło po całym domu. Ludzie ocknęli się, ożyli, poruszyli. Fala buchnęła przez drzwi do wnętrza salonu i uderzyła o ściany. Wtedy dragi raptem spadły na ciche wody luster i mieszczące się w nich szczątki twarzy rozprysły się z brzękiem po podłodze.

A nowi ludzie wciąż nadchodzili. Oślepieni światłem, ogłuszeni brzękiem tłuczonego szkła, wyłazili z sieni, jakby szerszenie z gniazd, i rzucali się na oślepienie na wszystko, co im wpadło pod rękę.

Jakiś szal ogarnął cały tłum.

Tłuc wszystko!

I rzucili się na wszystko. Usiłowali rozdzierać krzesła za nogi, a gdy się to nie udawało, walili nimi o ziemię i gnietli całym ciałem jak żywą istotę, w milczeniu, z zaciśniętymi zębami. Dragi zmiatały z etażerek szkło deszczem odłamków, pod uderzeniami młotków osypywały się szyby z okien jak kwiecie z drzewa. Szaleli coraz bardziej. Chcieli sły-

szeć tylko brzęk, stuk, trzask, przedśmiertne charczenie każdej rzeczy, która konała tak samo ciężko jak żywa istota.

O Lolu zapomniano.

Choma nie mógł się uporać z fortepianem. Czarne błyszczące boki pękały i zapadały się za każdym uderzeniem drąga, ale fortepian wciąż jeszcze trzymał się na nogach, tylko wył dziko jak zwierzę broczące krwią.

Wstrząśnięty kurz, który dotąd spoczywał w meblach, dymił się teraz i kręcił w powietrzu, aż światło żółkło i mętniało. Wszystko zlewało się w jeden szal. Ludzie pili go sobie nawzajem z oczu, z przedśmiertnej grozy okaleczonych sprzętów, z brzęku i szczęku metalu, z jęku strun. Wszystkie te odłamane nóżki, poskręcane oparcia, skorupy i szkło pod nogami, kawałki papieru, pustka ruiny — budziły jeszcze większą żądzę niszczenia, łamania, rozbijania; nogi mechanicznie deptały to, co już zmiażdżono, a ręce szukały nowych ofiar.

Andrzej jedną ręką łamał gałęzie żywych kwiatów, wysypywał ziemię z wazonów. Aha, rośniesz! — i upajał się chrupotaniem doniczek pod swymi obciami.

Choma biegał z wykrzywionymi ustami, cały mokry, aż świecący od potu.

— Używajcie, dzieci, nastał nasz dzień!

Panas Kandziuba z wysiłkiem podnosił wielką szafę, ale nie obliczył się z siłami. Przechyliła się i przycisnęła go. Kręcił się pod nią, stękał, ale włókł szafę do okna. Inni mu pomagali. Szafa wsparła się na oknie, zadarła nóżki, błysnęła białym dnem, zachwiała się i zniknęła. Panas wyrwał przez okno, aby usłyszeć, jak szafa grzmotnie piersią o ziemię.

Na podwórzu w nieprzeniknionej mgłę roili się ludzie jak liszki.

— Czego stoicie, chodźcie pomagać! Teraz mamy swobodę.

W salonie aż się zaroilo od nowego tłumu, który się ledwie przecisnął przez zwały szczątków. Ludzie rozpierzchli się po całym mieszkaniu, napełniając zgielkiem wszystkie pokoje. Walały kije i młoty niby w wielkiej kuźni, trzeszczały meble i drzwi, zgrzytało żelazo, a szkło brzęczało bez ustanku i sypało się na ziemię jak gruszki z drzewa podczas burzy.

Cały dom aż dygotał od wrzawy i wołał gwałtu w puste otwory okien do czarnej pomroki, która go otaczała.

Wysuwano komody i stamtąd wyrzucano cienkie koszule takie dziwne i lekkie jak puch; ze świstem darły się płótna, koronki latały jak pajęczyna.

Kowalowej aż się oczy paliły, tłuste boki trzęsły się jej, grzebała się w stosach tkanin i wciąż wykrzykiwała:

— Nie drzyjcie! Zostawcie i dla mnie...

I zdierała z połamanych mebli lśniący jedwab, żółty, czerwony.

Panas Kandziuba biegał po pokojach jak opętany. Z zanadrza wyglądała mu cienka damska koszula bez rękawów, a ręce ostrożnie trzymały i przyciskały do piersi skrzyneczkę ze starym, zardzewiałym żelastwem. Sam nie wiedział, gdzie ją podziąć.

Ołeksza Bezyk był rozpromieniony. Uratował ze zniszczenia słoiki konfitur i tulił go do serca jakby dziecko.

Pokoje były już obdarte, zniszczone, pełne kurzu, który na kształt dymu unosił się ku otwartym oknom. Na oknach chwiały się od wiatru poszarpane białe firanki jak poprzetręcane skrzydła. Tylko lampy i kandelabry były nieuszkodzone i zalewały całe rumowisko światłem jasnym nie do wytrzyma-

Brudni, jak gdyby na łachmany zdarci ludzie przystawali i patrzyli, co by jeszcze zniszczyć. Ale już nic nie było. Gołe ściany konały w ostatnim tchnieniu poobdzieranych tapet.

W kącie Choma sumiennie domęczał zwyczajną kuchenną ławkę, pooblewaną pomyjami, na wpół zgniłą.

Andrzej tracił Chomę w ramię:

— No, a gorzelnia?

Choma podniósł nań bezmyślne oczy.

— Jak tłuc, to wszystko!

I dalej mordował niedobitą ławkę.

— Dostyc, dajcie spokój! — wołał Andrzej. —

Czas podpalać!

Choma oprzytomniał. Podpalać? Oczy mu się na chwilę zatrzymały i jakby mignął w nich daleki odblask pożaru.

— Palić? Zaczynaj!

Złożyli na kupę pod schodami szczątki mebli, nożki od krzesel, kawałki papieru i podpalili.

— Uciekajcie z domu, pali się! — wołał Andrzej.

Ludzie jak myszy puciekali z pokoiów i wśród dymu skakali po schodach.

Andrzej wyjął z kandelabra świecę i podpalił firanki. Ogień rad się wspinał po firankach — i czarne luki okien wydawały się jeszcze głębsze w czerwonych ruchomych ramach. Dwa cienie Andrzeja mignęły po ścianach na pożegnanie i razem z nim znikły.

Andrzej szukał Chomy.

— Teraz gorzelnia. Słyszycie, Chomo? Gorzelnia, mówię.

Obaj wybiegli z domu ostatni.

Noc była głucha, czarniejsza jeszcze po jasności. Ale w jej głębi wrzało życie, ruszał się i falował czarny lud i uderzał niewidzialnym przyływem ciał.

Tylko gorzelnia jaśniała rzędem oświetlonych okien i drżała od ruchu maszyn, jakby w wielkiej kamiennej piersi kołatało serce, trwożnie oczekując czegoś.

Robotnicy porzucili pracę i stali czarnym sznurem wzdłuż ścian u bramy. Światło z okien grało w kałużach pasmami złotych koralii.

Tłum i gorzelnia stały jedno naprzeciw drugiego, niby mierząc się siłami, jakby jeszcze rozważały, kto zwycięży.

Między nimi raptem zjawiała się ciężka, nieociosana postać Chomy.

— Na co czekać? Palcie!

Okna domu panicza Lola kotłowały się dymem. Ogień wspinał się po firankach, ruchliwy, wesoły, i już lizał okiennice. Tłum, w ciemności nocy bezlicy, drgnął i ruszył na gorzelnię. Andrzej biegł przodem. W lewej ręce trzymał żelazo, a prawa, bez palców, wznosiła się wysoko nad głową, niby wygrażając komuś.

Oto aparatownia. Ciepła, cała pokrecona w żelazne rury, koła, przyrządy, niby wewnątrz brzucha, trzęsła się jak w febrze i błyskawicznie migotała szerokim pasem. Na chwilę nozdrza Andrzeja uchwyciły znajomą woń oliwy, pary, suchego żaru rozpalonego pieca — i stanęło mu przed oczyma jego życie robotnicze, jego kalectwo. Tak się spotkała maszyna ze swą ofiarą! Andrzej poczuł na ręce odcięte palce i wściekłość zamgliła mu mózg. Rzucił się na pas i stracił go od razu. Zachybotawszy się, pas spadł miękkiem, leniwym ruchem jak martwa żmija. Aparatownia drgnęła po raz ostatni i stanęła, a koło rozpedowe zakreśliło się w tak szalonym wirze, iż zdawało się, że porwie z sobą maszynę. Kocioł, pełen siły, ciężko tchnął ciepłem. Jego czarne, błyszczące boki drażniły Andrzeja. Chciało mu się bić to syte,

wypasione bydłę, usłyszeć, jak pięknie wrzaśnie, urzeć, jak skona, wypuści ostatni dech. Utracił manometr i zdzielił maszynę żelazem po boku. Później wpuścił parę do syreny. I gdy kocioł zawrzasnął tym samym krzykiem, który budził Andrzeja prawie przez całe życie, krzykiem, który z bliska wydawał się ostrym i błyszczącym jak szydło, gniew odebrał Andrzejowi przytomność i rozsądek.

Walił maszynę co siły, prawą ręką pomagał lewej, wykrecał śruby i rozbijał wszystko, co rozbić można było. Nawet zapomniał o niebezpieczeństwie. Nie widział, co działo się dokoła, tych wszystkich świtek, żółtych kożuchów, zlepionych potem bród i czupryn, na wpół obłąkanych oczu, pokaleczonych rąk, nie słyszał kucia żelaza o żelazo, piekielnej kuźni, która chciała wszystko przekuć w nicość, która pracowała jak nie tracący ani chwili duch zniszczenia i napępiała wysokie mury gorzelni echem tysiąca dźwięków.

Choma był wszędzie. Zdawało się, że zapomniał ludzkiej mowy i jak żuźle od gorejącej duszy wyrzucił z gardła:

— Palić!.. Bić!

Gdzie się tylko zjawiała jego twarz starej baby, głęboko zorana pługiem życia, gdzie tylko padło wszechwładne i nieubłagane spojrzenie jego zielonych oczu, tam duch zniszczenia napinał siły i siły te zamieniał w nieludzkie.

Choma nie czuł zmęczenia. Jego ręce jakby żelazne ceگی kręciły miedziane rury i te, im były twardsze, tym większą rozpałały żądę przewyciężenia. Poobcierane, pokaleczone ręce dawno broczyły krwią, lecz on nawet nie zauważył tego. Wiedział tylko, że musi rozbijać i podpalać.

Nareszcie! Pokrywy ze szczękiem spadły z cystern, ogień dotknął okowity, i lekki błękitny obło-

czek zakołysał się nad nią. Z całej gorzelnii ludzie zbiegli się patrzeć. Niebieskawy płomień, taki lekki i niewinny, że zdawało by się sparzyć nie może, miękko się kurczył i rozpręzał, niby pływał po okowicie, i tylko czasem wzdymała się fala z czerwonym grzebieniem.

Szmer niezadowolenia przeszedł po tłumie. Przecież to okowita paliła się. Nie co innego, tylko okowita. Było ludziom przykro. Na samą myśl o tym piekło w gardle i ciepło rozlewało się w piersiach. Po co było palić, nie dając nawet skosztować? Teraz ani paniczowi, ani ludziom. Ogień pożera.

Ołeksza Bezyk mało nie płakał. Czyż się naprawdę zmarnuje? Chciał ratować. Przyszło mu na myśl, czy nie można zaczerpnąć od spodu. Przecież paliło się tylko z wierzchu. Znalazł dzbanek i przecisnął się przez tłok.

— Dokąd idziesz?

Chcieli go zatrzymać.

Ale Bezyk już się rozpędził i wsunął rękę prosto w ogień.

Niebieski płomień zachwiał się z lekka, chlupnął o czarne brzegi cysterny i spadł na ziemię kilkoma ognistymi kłębkami.

— Oj, ludzie, parzy! — krzyknął Ołeksza.

Rękaw mu się palił.

Była to próba, nieudana wprawdzie, ale z pozoru możliwa. Ogień jest tylko z wierzchu; na spodzie zaś czysta, dobra okowita — trzeba jeno sięgnąć.

Tłum się poruszył.

— Ho, ho! Ile to się dobra marnuje, ile gorzałki...

Zasychało w ustach, dusza błagała choć o kilka kropelek, chociaż raz łyknąć, choć zwilżyć usta, suche, spierzchnięte. Rozbić naczynie? Przedziurawić

z boku? Zapach okowity łechtał nozdrza, gardło zaś spazmatycznym ruchem łykało ślinę.

Gorące źrenice dotykały boków cysterny, gotowe pochłonać, wysuszyć do dna mocne, niedostępne, nakryte ogniem naczynie. Tłum nawet ucichł w szale pragnienia, objęty jednym pożądaniem, jedną myślą. A przed nim, coraz wyżej wznosząc się do góry, płonęły czary pełne ognia, jak ofiary nieznanemu bóstwu.

Raptem z tyłu rozległ się krzyk:

— Rozstąpcie się, zróbcie drogę!

I nie zdążyli się jeszcze ludzie rozstąpić, gdy przez tłum przeleciało coś mokrego, coś całkowicie nasiąkniętego rzadkim błotem, opryskało wszystkich i rzuciło się wprost do ognia. Na chwilę tylko mignęła przed oczyma czarna postać i wzniesiona ręka, podająca ludziom cebrzyk ognia, który dymił jak serce dopiero co z piersi wydarte.

— Pijcie!

— Ale jak pić?

— Lej wodę! Dajcie wody!...

Ktoś przyniósł i chlusnął wodą w cebrzyk. Ogień osłabł, tchnął po raz ostatni i skonał.

— Hurra! Gorzałka!

Drżące ręce podnosiły się i wyciągały w jednym niezmożonym pragnieniu — prędzej sięgnąć, pochwycić, oderwać od innych ust ciepły, wstretny napój.

— Dawaj tu! Dla mnie zostawcie! Dostyc — dajcie i nam...

Ci, co stali bliżej drzwi, nie mieli nadziei dostać wódki. Musieli zdobywać ją sami. Biegli na podwórze i tak jak stali, w ubraniu, skakali do kałuży i tarzali się tam w jakimś gorączkowym zapamiętaniu, ażeby lepiej namoknąć i nie bać się skoczyć w ogień.

Z gęstej jesiennej mgły nieustannie wdzierały się do gorzelnii i lały w ogień jak ćmy do światła dzikie, na wpół ludzkie postacie, mokre, pokryte skorupą rzadkiego błota, spod którego błyszczały tylko oczy.

Błękitne ognie wciąż się rozrastały i już kwitły na wierzchołkach czerwono jak chmury o świtanii. Trupie, sinawe cienie rozlały się po twarzach. A wśród stłoczonych w zgrozie na ścianach cieniów poskręcanych rur i porozbijanych maszyn czarni, ubłoceni ludzie skakali w dzikich płasach i czerpali ogień z palających czar.

— Kto chce? Pijcie!

Dom Lola już się dopalał. Belki spadały w otchłań otworów i rozpryskiwały się snopami trzaskających iskier. Gorzelnia płonęła równo, cała nalana ogniem, ociekająca przez okna i drzwi płomieniem jak rana krwią. A nad nią cicho żarzyły się szerokie skrzydła jesiennych chmur, rozpostarte w przepaścistej nocy.

* * *

Nazajutrz wszędzie było cicho. Ludzie chodzili powarzeni, jakby próżni w środku, ociężali. Czarny zakopcony komin sterczał na wzgórku na miejscu gorzelnii. Mimo woli przyciągał ku sobie wzrok — i dziwnie było, że oko nie zatrzymywało się jak dotychczas na murach, a biegło gdzieś dalej, w pustkę pól, rudych wzgórków.

Andrzej poszedł oglądać ruiny. Na pogorzelsku, które jeszcze dymiło, widnieli tu i ówdzie ciekawi. Białe dymki leniwie snuły się nad rumowiskiem zwalonych ścian jak w czas mrozu para z nozdrzy bydła. W szerokich dziurach okien białały kaflowe piece, jak zęby w szczękach kościotrupa.

Gromadki bosych dzieciaków grzebały się w cieplej ziemi, znajdując wszelakie szczątki i drobiazgi, na wpół zwięglone. Kłóciły się i biły jak wróble.

Andrzej wyszedł do gorzelni. W nikłym świetle szarego dnia, które wlewało się przez otwory okien tudzież z góry, wszystko zdawało się obce, dziwne, niepodobne do tego, co było wczoraj. Wczoraj były tu maszyny, ciepłe, żywe, silne aparaty, które się opierały, kiedy je rozbijano. Dziś leżały nędzne, próżne, skurczone we dwoje, z przebitymi bokami, rude, oblaźłe. Miedziane rury wyciągały bezwładnie poskręcane końce, spłaszczone, miękkie jakby zdeptane jelita, a czerwona rdza od ognia wystąpiła na nie krwawym potem.

Andrzej dziwował się. Czyż to on naprawdę miał siłę jedną ręką zadać tak głębokie rany żelazu? Przenosił wzrok ze swych rąk na maszyny i tylko ramionami wzruszał. Czyż to naprawdę on? Już nie czuł dawnej złości, gdzieś znikła w ciągu jednej nocy. Nawet żal mu się zrobiło tych aparatów: tak ich długo doglądał jak niańka dziecka.

Andrzej cicho westchnął i naraz usłyszał, że obok niego coś się porusza.

Panas Kandziuba stał wśród gruzów, ociężały i szary jak kupa przepalonej cegły.

— Wszystkośmy porujnowali — odezwał się Andrzej.

— A czy to my?

Andrzej się zdziwił.

— Jak to nie my? A któż?

— Siła piekielna!

W oczach Kandziuby była teraz pewność i taki strach, że Andrzeja aż mrozem przejęło.

— Nikt, tylko siła piekielna.

Wozy podjeżdżały do gorzelni i odjeżdżały pełne żelastwa, cegieł, nadwęglonych belek.

— Rozbierzmy wszystko, zrównajmy z ziemią — mówili do siebie ludzie, ale już się oglądali, jacyś niepewni, a w sposobie zamierzania się na konie batem i w pośpiesznym turkocie kół znać było lęk.

Nad wieczorem rozeszło się po wsi, że idą koźacy. Kto puścił pogłoskę, skąd się wzięła, nikt do brze nie wiedział. Opowiadano tylko, że będzie rewizja, a u kogo co znajdą — tego rozstrzelanie nie minie.

Widocznie to sprawka panicza Lola. Puszczono go żywcem, a teraz z ludźmi źle. Trzeba go było najpierw zabić, a wtedy dopiero podpalać. Ale już za późno. Nie ma rady.

Co począć? Jak się ratować?

Nieszczęście podkradło się tak znieńacka i tak niespodzianie spadło, że nikt nawet nie odważył się pomyśleć, jak je zażegnać. Przyjęto do wiadomości jak coś oczekiwanego, nieuchronnego, tak jak śmierć po chorobie.

Niektórzy mieli nadzieję ująć sucho. Cichaczem wrzucali do stawu żelastwo lub chowali w ziemię, co komu pozostało. Ale czy to pomoże? Czyż ludzie nie wskażą, jak przyjdzie co do czego?

Noc minęła spokojnie, a jasny zimowy dzień nawet zupełnie uspokoił wieś.

Widać, ktoś musiał zełgać. Za cóż by mieli karać, kiedy dokoła było to samo? Wszędzie panów popalono i poniszczono, bo takie prawo nastąpiło.

Południe minęło, a we wsi cicho, nic nie ma.

Prokop rządził się na pańskim polu: kończył zimową orkę i spóźnione siewy. Robota szła swoim trybem, pan nie wracał odbierać ziemi, panicz Lolo też nie miał widać ochoty patrzeć na zgliszcza. Wszędzie było spokojnie i pogłoski gasły. Nikt im wężej nie wierzył.

Przeszła i druga noc. Ci, co powrzucali dobro do stawu, teraz żalowali.

Jednak nowina spadła jak grom z jasnego nieba. Teraz już było na pewno. Oleksa Bezyk jeździł do miasteczka, ale zawrócił z drogi. Do wsi Tarniwiki przyszło wojsko. Spędzili ludzi, jednych powystrzelali, drugich pałaszami zasiaekli, innych wywieźli do miasta. Rewidują, wiążą i bija.

— Czekaście ich u nas. Teraz już nas nie minie. Teraz już się ich nie uniknie. Było jasne.

Panas Kandziuba długo i uporczywie drapał się za uchem.

— To i nas zastrzelą?

Jego wylekłe, pełne niezrozumienia oczy na próżno szukały ratunku.

Oleksa Bezyk jakby o niczym nie wiedział. Wzruszał ramionami.

— Ja tam nie podpalałem, nic mi nie będzie.

— A czy to ciebie z nami nie było?

— Mnie? Broń boże! W domu siedziałem.

— Tak? Ale ja cię widziałem na własne oczy.

— Kogo? Mnie? Niech ślepie temu wyleżą, kto mnie widział. Sam podpalał, a na innych gada.

— Podpalałem? A dowody dasz?

— A dam.

Winnych nie było. Jedni zwalali winę na drugich, a ci jeszcze na innych. Tak wyglądało jak gdyby wszyscy byli w domu i, jeśli kto nawet pobiegł do gorzelni, to tylko popatrzeć. A kto się nie mógł wykreścić, ten winił cały ogół. Wieś winna, wieś będzie odpowiadać. Ale wieś nie chciała. Wyrzuty i klótnie budziły dawne nienawiści, powypływały na wierzch stare krzywdy i grzechy. Spokojniejsi mitygowali wszystkich. Cicho. — Nic nie będzie! Teraz nasza siła i nasze prawo.

W południe usłyszeli od przejezdnych o Ośmakach. Tam kozacy podpalili wieś, bo ludzie nie chcieli wskazać winowajców. Wieś się pali.

Wtedy zaczęły się wyrzekania. Dlaczego mają wszyscy ginąć? Czy to nie Choma namawiał? Czy nie on zwołał gromadę? Choma i Andrzej. Widać, że nie obejdzie się bez nieszczęścia i za pańską ziemię. Dopóki nie było Huszczy we wsi — było spokojnie. Co tu gadać! Huszcza i Prokop pobuntowali ludzi, oni wszystkim winni. Powiadali — prawo ludowe, nasza ziemia, a teraz masz — kozacy!

Najwięcej niepokoił się Panas Kandziuba.

— A co? Na moje wyszło. Ozuć pana w postoly. Macie, ozuliście...

Pod wieczór zjawił się we wsi Pidpara. Odkał przyszedł manifest, nikt go nie widział — jakby przepadł. Teraz szedł spokojny, ponury, niby trochę postarzały. Nie zaczepiano go. Przeciwnie, z zazdrością patrzono mu w ślad. Takiemu nic nie będzie! Siedział cicho. Miano go za chyłrego, rozumnego i ostrożnego. Cóż teraz począć?

Trwoga obejmowała wieś. Nie było końca powtarzaniu różnych opowieści. Mówiono, że w Ośmakach padli od kul kozackich nie tylko dorośli, ale i dzieci. Że niepodobianych układali na wozie jak snopy i tak ich wieźli do więzienia. Że między szczeblami wozu krew przez całą drogę kapiała na ziemię. Kobiety podobno lamentowały tak głośno, że aż daleko na trakcie było słyhać. Że od pożaru zmarnowało się zboże i bydło. Zgroza malowała obrazy coraz okropniejsze. Z niepokoju ludzie nie mogli usiedzieć w chacie. Co tu robić? Jak się ratować? Kto wie? Nieszczęścia się nie uniknie. Widzieli już pożar, zniszczenie i krew. Dzieci patrolowały gościniec za wsią, najmniejszy niepokój wywoływał alarm.

Pewnie: tacy, jak Andrzej lub Choma, nie mieli się czego bać. Co im wziąć? Ani chałupy, ani kawałka ziemi. Dziadaki, nędza. Doprowadzili do nieszczęścia i pochowali się. Dziś gorzelnię spalili, a jutro stogi komuś podpalą. Nie darmo mówi Pidpara: nie spodziewaj się niczego dobrego po podpalaczu.

Ołeksza Bezyk radził zwrócić panu ziemię. Zawsze będzie mniejsza wina.

— No, a gorzelnia?

Prawda, tej się na nowo nie postawi. Czarne ruiny gniotły jak nieczyste sumienie.

Niektórzy pytali, czy nie lepiej spotkać wojsko z chlebem i z solą, paść do nóg, korzyć się.

Inni radzili bić się, nie puścić kozaków.

Ale to wszystko było nie to.

Tylko Pidpara spokojnie chodził między ludźmi i przysłuchiwał się, a jego głębokie i surowe oczy coś zamykały pod strzechami brwi. Wszystkim się zdawało, że Pidpara coś wie. Ale ten milczał.

* * *

Od kogo ta myśl wyszła, kto ją pierwszy podał, trudno było powiedzieć. Może ją Pidpara swoim ponurym spojrzeniem zasiał, a może sama się zrodziła i osiadła głęboko w sercach jak kamień na dnie. Dość, że ludzie przyjęli ją w milczeniu jak ostatnią nadzieję, jak jedyny ratunek. Niech lepiej zginie kilku ludzi niż cała wieś. Ciężka tajna ugoda zapanowała między ludźmi. Na mgnienie utworzyła się skrytka, coś wypuściła i znowu się zawarła. A w niej, jak płód w kobiecym łonie, coś rosło, dojrzewało i cieniem padało na zamknięte oczy. W jesiennej pustce, która obejmowała wioskę, czuło się złowrogie tchnienie jakiegoś nieszczęścia: coś nieubłaganego, nieuniknionego, okrutnego żądało ofiar.

U Pidparów paliła się lampka przed obrazami. Uroczysty nastrój spływał ze świątych i kładł się na twarz Pidpary. Ten mówił powoli, ciężko, jakby liczył pieniądze, i przed ludźmi znowu był dawny Pidpara. Ludzie zebrali się tłumnie w izbie jego chaty. Przyszli do niego, znowu był potrzebny. Kiedy innym strach odebrał rozum i zaślepił oczy, Pidpara niczego się nie bał. Był jak skała wśród rozhukanych bałwanów, które spodziewają się zatrzymać o nią swój pęd i odnaleźć równowagę.

Wiedział, co poradzić.

Panas Kandziuba kiwał głową. Tak, tak. Niech wojsko przyjdzie, gdy już będzie po wszystkim. Winnych nie ma. Gromada sama ich ukarała. Wtedy nie będzie powodu karać wszystkich. Nie wieś buntowała, a tylko podjudzacze. Gdyby nie oni, byłby spokój. Kto zrobił strajk? Oni. Kto gorzelnię spalił? Znowu oni! A wszyscy mają ginąć przez nich? Stracił chatę — ale co tam chatę! — może i życie?...

Panas był wzburzony.

Pidpara marszczył brwi.

— Teraz pańskie bierze, a poczekajcie trochę, wasze zabierze. Masz, powie, niepotrzebną dziesięcinę, oddawaj! Inny sobie uciuchał jakąś setkę — dawaj pieniądze! Zabierze mnie, tobie, Maksymie, a potem i od biedniejszych weźmie. Oni żyć nie dadzą.

Hawryło, teść Pidpary, wplótl w siwą brode żółtą kościstą rękę.

— Co tam! Powystrzelać i już!

Okrutne słowo, po raz pierwszy rzucone, szczęknęło wśród ciszy jak nóż.

Ciężkie milczenie zaległo izbę. W niemej zgodzie, która zamknęła usta, strach rodził podłość.

Żeby jeno czego za to nie było?

Wtedy rudy Maksym, sołtys, wyciągnął z kieszeni swoją blachę i przyczepił na piersiach.

— Ja odpowiadam. Tu jest papier. Rozkaz: tępić wszystkich buntowników. Za to nic nie będzie.

Jedną ręką uderzał się po kieszeni, drugą poprawiał blachę.

I wszystko na nim lśniło. Rude włosy, gęste piegi, wyczyszczony cegłą mosiądz.

A jeśli tak, to czego czekać? Zwoływać wiec. Niech ludzie rozsądzą...

* * *

Naga ziemia, smagana skrzydłami wiatru, beznadziejnie szarzała pod ołowianym niebem.

Rzędami wymęczonych chałup, powszednich i niegościnnych, patrzyła wieś na swych gospodarzy, którzy niechętnie szli do gminy. Szli leniwi, szarzy, ociężali jak bryły jałowej ziemi, która ich zrodziła. Nieśli swoją broń — odwieczne dubeltówki, pozwiązane sznurkami, ciężkie i zardzewiałe obuszki, kłonicie, kije. Pędził ich strach, nałóg posłuszeństwa zwierzchności. Na wiec wołano wszystkich mężczyzn, kto by zaś nie przyszedł, tego czekała śmierć. Kobiety wyprawiały mężów z płaczem, z wyrzekaniem, jak na tamten świat. Kto wie, co będzie?

Małanka nie puszczała Andrzeja.

— Nie chodź, żeby ci się jeszcze, broń boże, co nie stało.

Andrzej nie słuchał.

— Mam, panie dobrodzieju, medal od pana, to nie boję się swoich.

— Chwal się, chwal, Andrzeju, kalectwem, dużo to komu potrzebne — syczała Małanka, jednak sama też poszła za nim.

I znowu na placu aż czarno było od ludzi. Pośrodku mężczyźni, a dokoła, aż do bajory, kobiety.

Zmieszany gwar głuszył słowa Pidpary. Widać tylko było, jak stał wyniosły, w odświetnym kaftanie, wymachiwał ręką i marszczył brwi. Koniec fuzji sterczał mu zza pleców.

— Oj, boże, coś będzie! — lękała się Małanka.

— Buntowników będą sądzić.

— A kogo?

— Ludzie powiadają na Chomę Gudzia, na Sawę Hurczyna... Oj, żeby nie dostało się i Andrzejowi...

— Bójcie się boga — przelękała się Małanka. — Mój tak samo przecie był w gorzelnii jak i wasz. To by trzeba było pół wsi sądzić.

A sama rozglądała się: gdzież Andrzej?

Maksym Mandryka z blachą na piersiach chodził między ludźmi.

— Wszyscy przyszli?

— Wszyscy.

— Nie przyszedł Ołeksza Bezyk.

— Ja tutaj!

— Trzeba wszystkich zapisać.

Ale za ledwie się do tego zabrał, gdy raptem nadjechał na pańskim koniu Semen Mażuha.

Przywiązawszy konia wyciągnął rękę do Mandryki.

— Jak się macie, Maksymie, mam interes do was. Sołtys spojrział na niego.

— Nie wartyś mojej ręki. O, masz!

I uderzył Semeną w twarz.

Semen osłupiał.

— Za co mię bijecie? Mnie gromada wybrała.

Mandryka nie zdążył odpowiedzieć, gdy Pidpara już stanął między nimi i zdjął fuzję.

— Rozstąpić się tam zaraz!

Tłum szarpnął się w tył jak gdyby fala odpluśnięta — i jednocześnie jęknęli ludzie i fuzja.

Owinięty chmurą białego dymu Semen zgiął się i chwycił za bok.

— Oj, ludzie, za cóż mi tak?

Zataczał się i obłąkanym okiem szukał straszliwego wyjaśnienia na szarych obliczach, które pochylały się z obu stron jak żywy mur.

Ale tam nie było ani wyjaśnienia, ani nadziei. Wtedy zwierzęcy lęk zerwał go na nogi. Semen rzucił się na oślep do ucieczki, brocząc krwią, która czerwieniła mu palce i spływała na ziemię wzdłuż nogawicy.

Oleksa Bezyk dogonił Semena i uderzył z tyłu kołem. Wysoka postać złamała się jak scyzoryk i runęła na ziemię. Panas Kandziuba już był koło niego. Bezwładne ciało, jeszcze ciepłe, co mu tak pokornie osunęło się pod nogi, wzbudziło w nim nienawiść, której nie czuł do żyjącego. Opanowała go niezwykła żądza bić Semena, wdeptać w ziemię, zniweczyć. Bez potrzeby wystrzelił weń i zamierzał się ciężkim buciskiem, aby kopnąć go pod żebra.

— Dosyć, już po nim! — odezwał się Bezyk.

Odciągnęli za nogi ciało Semena i wrzucili do bajora.

Wszystko stało się tak prędko i niespodzianie, że ludzie skamienieli.

Krew popłynęła. Tylko jedna chwila dzieliła przeszłość od tego, co zaszło, a wydawało się, że wieki minęły, że przeszłość raptem wpadła w otchłań, że coś podniosło się i zrzuciło pęta.

Z tłumu wyszli stanowczym krokiem Iwan Korkotkij, Dejneka i jeszcze kilku i stanęli obok Pidpary, gotowi na wszystko.

Pidpara wyprostował się.

— Choma Gudź jest? Wychodź!

Głowy się obróciły i trwożne a okrutne oczy spotkały się jak miecze.

— Gdzie Choma Gudź?

— Nie ma go. Nie przyszedł.

Na chwilę zaległa cisza i naciągnęła się jak struna. Kogo teraz? Czyja śmierć wyleci z ust, spadnie na ziemię jak kamień? Słysząc było oddech.

— Prokop Kandziuba!

Co? Prokop Kandziuba? A jego za co? Przecież gromada go wybrała!

Sołtys odpowiedział:

— Posłałem po niego... Zaraz będzie.

— Dobrze. A tymczasem... Andrzej Wołyk! Prowadzić!

Wołyk... Andrzej... — potoczyło się echem. O, tu jest.

— Oj, Boże, cóż on wam winien? — zawodziła Małanka. — Nie ruszajcie!

Głos jej głuszyło cienkie, ostre, nieustające skomlenie, podobne do kwiczenia prosięcia pod nożem, i tylko z rzadka przerywały je pojedyncze słowa. Nie chciało się wierzyć, że to głos ludzki.

Tymczasem tłum ruszał się, wrzał i, jak pianę na powierzchni wrzątku, wyrzucił z siebie sucha, zmietoszona postać kaleki.

— Idź... Leż... Tu jest... tu... Nie ma rady.

Popchnięto go i padł na kolana przed Maksymem, blady, poszarpany cały, nędzny jak strach na wróble, z kikutem na miejscu dłoni.

Krzyk jeszcze targał mu się na ustach.

— Zmiłujcie się, ludzie... Jam nic nie winien.

Uklonił się dotknawszy czołem ziemi.

Maksym postawił Andrzeja na nogi.

— Przeżegnaj się!

Andrzej pokornie przyłożył do czoła okaleczoną rękę.

— Bić go!

Upadł. Skończono z nim od razu.

I znowu krwawą drogą powlekli ciało do bajora. Ale wnet musieli przestać. Zatrzymała ich wrzawa. Tłum zadrżał od głuchego jęku zgrozy, od szmeru wznoszonych rąk.

— Patrzcie... tam... tam... wstaje... jeszcze żyje... Semen... Semen...

Z bajora podnosiły się plecy, niby kępka, na chwilę pokazała się ręka, jakby chwytająca powietrze i znów opadła. Jeszcze dwa-trzy poruszenia, chybnięcia się — i długa postać powoli się rozgięła i zachwiała na słabych nogach jak upiór w czarnej siatce ociekającego błota. Wielkie ręce Semena na kształt kleszczy raka daremnie szukały czegoś, by się uchwycić.

— Wyjdzie!... Zaraz wyjdzie z wody!...

Ci, co wlekli ciało Andrzeja, skoczyli do wody, i jednym machnięciem siekiery położyli Semena z powrotem na miejsce.

I znowu okrutna cisza ścisnęła serce jak w garść, znowu chorobliwa żądza krwawego słowa rozciągnęła chwilę w wieczność. Czyja teraz kolej? Kogo zabierze śmierć? Każde nowe imię dawało możliwość innym odpocząć przez krótką chwilę.

Nic jednak nie naruszało natężonej ciszy. Pidpara szeptem radził się z Maksymem i tylko za plecami ciężby szarpał się lament Małanki, płacz kobiet.

Raptem wszyscy drgnęli, ożyli. Tłum westchnął jak wielka pierś i jak gdyby pryskać po nim zaczęło jak po wodzie.

— Prowadzą! Prokop idzie!...

Prokop zbliżał się, spokojny i skupiony, jak zawsze. Tak jak i zawsze, porządnie leżało na nim ubranie, tak samo poważnie miał ruchy i było nie do uwierzenia, iż ten człowiek idzie na śmierć. O, zaraz pojejdzie, wymie z kieszeni zatłuszczony zeszyt, przeczyta gromadzie, ile zasiał, zaorał, co sprzedał. Inaczej być nie może.

Wszystkie oczy wpiły się weń, a on zbliżał się powoli.

Plama świeżej krwi trafiła mu pod nogi. Zawahał się na chwilę, niby bojąc się stąpnąć na krwawą drogę, twarz mu zbladła i podniósł wzrok. Oczy zatrzymały się na strzelbach, widłach, siekierach, na Pidparze i gromadce ludzi stojących już w pogotowiu. Zrozumiał.

Jednak pozdrowił zebranych.

Pidpara podniósł nań brwi.

— Czemuś sam nie przyszedł? Jeszcze posyłać po ciebie?... Szykuj się, zdasz rachunek przed panem bogiem.

— Czyś ty pop? Rachunek zdam gromadzie. Ona mnie obrała.

— Już za późno, braciszku. Zaraz umrzesz.

— Za co?

— Nie ma czasu rozgadywać się. Sam wiesz. Gadaj prędzej, co masz gadać.

— Gromada tak postanowiła?

— Gromada.

Prokop spojrział dokoła. Obok Pidpary stali: Oleksa Bezyk, Iwan Korotkij, Oleksander Dejnaka, stryjek Panas, wszyscy, co jednakowej z nim byli myśli.

— I wy przeciw mnie? Cóż zrobiłem?

Milczeli.

Ratunku nie było.

Stryjek Panas tracił go w ramię.

— Może Marię zawołać?

Prokop z rezygnacją machnął ręką.

— Zawołajcie.

Z trudem przecisnęła się przez tłok — w nowym sztywnym kożuszku, którym owijała dziecko i zaraz ukłękła na mokrej od krwi ziemi.

— Zmiłujcie się nad nami, panie softysie, i wy, gromado... Gdyby go nie obrali, nie byłby w tym.

Trzymając dziecko, nisko się kłaniała w jedną i drugą stronę.

— Dosyć, Mario... Wstawaj... — wstrzymał ją Prokop. — Słuchaj, Mario...

Zamilkł na chwilę. Od razu wszystkiego zapomniał.

— Słuchaj, Mario... Konia sprzedajcie... Niepotrzebny wam...

— Oj, boże! — zawodziła Maria.

— Cicho bądź! Z tych pieniędzy oddaj Pyłypowi dziesięć rubli, które pożyczyłem... Zboża, jakie omłócisz, nie sprzedawaj, będziesz miała mąkę... Odzież moją zachowaj dla syna; jak dorośnie, to znosi...

— Prędzej tam! — naglił Pidpara.

— Oj! — jęknęła Maria.

— Pokłoń się matce... Niech przebaczy... I ty przebacz.

Ucałował ją trzykrotnie, jak przed spowiedzią, przyłożył zimne usta do czoła dziecka.

— Jużes gotów? — zapytał Maksym.

— Jeszcze mam pieniądze gromady... Klucze...

Sięgnął ręką za cholewę i wyciągnął gałganek.

— Policzcie... Trzydzieści osiem rubli i dwanaście kopiejek.

Później przypomniał sobie:

— Jeszcze dwie kopiejki.

I wyjął z kieszeni razem z kluczami. Maksym zabrał.

— Co masz jeszcze?

— Pozwólcie kapotę zdjąć.

Zdjął i został w samej koszuli.

Dokoła niego rozległ się gwar współczucia.

— Dobra kapota!

— Szkoda, żeby się w krwi utyłała...

Pidpara jeszcze nabijał fuzję, inni czekali, już gotowi.

— Stóćcie — zatrzymał ich Panas Kandziuba. —
Ja sam.

Wciąż jeszcze dreptał koło Prokopa.

— Trzymaj się, synku... Służyłeś dotąd gromadzie, posłuż jej ostatni raz. Strach nam... Wojsko idzie... Nie wszyscy przecież mają odpowiadać... Bóg ci zapłaci... Przeżegnaj się.

Prokop przeżegnał się.

Maria lamentowała i targała na sobie kożuch.

Ludzie ją odciągnęli.

— Przeżegnaj się, synku.

Uklonił się w cztery strony świata.

— Darujcie mi, ludzie... Możem co komu zawi-
nił... Żegnajcie...

— Niech ci bóg daruje... Żegnaj nam.

Panas Kandziuba znowu trącił bratanka.

— Gdzie ci strzelać?

Prokop utkwiał w nim martwe już oczy. Pomy-
ślał.

— Strzelajcie w usta.

Biały, jak koszula na nim, starał się otworzyć usta, ale nie mógł. Dolna szczęka drgała mu, sztywna i nieruchoma jak drewniana.

Panas przyłożył strzelbę prawie do samej twarzy i strzelił.

A w odpowiedzi na strzał twarz bluznęła struga krwi i oblała Panasowi ręce i piersi.

Prokop padł na kolana. Pidpara dobił go z tyłu.

Ludzi stopniowo upajała woń krwi, przedśmiertne rżenie, dym prochu. A Huszcza? A Choma Gudź? A Iwan Redka? Jak? Jeszcze żyją?

Jednak ani Chomy, ani Huszczy nie było. Gdzieś znikli. Pidpara posłał ich szukać.

Tych, co chcieli się wymknąć za plecami tłumu, zabrano do gminy. Stamtąd wypuszczali ich po jednym, między dwoma szeregami i strzelali lub tłukli ko-

łami. Tak zginęli Redka młodszy z bratem i Sawa Hurczyn, ten tylko za to, że kiedyś potłukł szyby u Hawryły, teścia Pidpary.

Trupy mokły w bajorze jak konopie i czerwieniły wodę, a nad tłumem snuły się pasma sinawego dymu, jakby upiór szukał rękoma ofiary.

Krótki dzień skończył się. Wiatr rozniósł ostatni dym, rozwał ostatni dech zabitych, rozpędził chmury. Z czarnego pola ulatywał w czarny niewiadomy przestwór i kołysał gwiazdy, co drobnymi paciorkami złożyły krwawe wody bajora.

* * *

Małanka ledwie się przywlokła do swojej chałupiny. Upadła po ciemku na ławę i opuściła bezsilne ręce na kolana. Cały dzień była na nogach, cały dzień chłoneła mękę i krew, i tylu ludzi pogrzebała w sercu, że pełne stało się nieboszczyków jak cmentarz. Aż onie miało. Nie ma w nim więcej ani strachu, ani żalu; ona cała jakoś dziwnie jest próżna, zawadza na świecie, niepotrzebna. Dobrze, że chociaż światła nie ma, bo jej oczy nic więcej nie mogą znieść. Już nie chce nic. Niechby tylko było ciemno jak teraz — i cicho.

Wszystko od niej ucieka, wszystko się odwróciło. Był Andrzej — całe życie z nim się użerała, a teraz nie ma już Andrzeja. Pieściła się marzeniem o ziemi, a ziemia powstała przeciw niej, wroga, okrutna, zbuntowała się i uciekła z rąk. Jak miraż wabiła, pierzchła i znikła.

Leży zimna i ssie teraz krew.

Małance już nic więcej nie potrzeba. Byleby tylko było ciemno, byle wiecznie cicha była ta pustka, jak grób.

Skrzypnęły drzwi.

— Kto tam?

— Ja.

Dziwnie. Przeżyła życie, a ono raptem wpadło w przepaść. Chociażby ślad zostawiło, choćby pamiątkę jakąś. Wszystko pochłonał mrok. Wszystko czarne. Nawet dzień dzisiejszy odsunął się daleko, tak daleko, że wydaje się starym, dawno zapomnianym snem. Czy dziś było co, czy nie było nic? Jedno tylko wyraźnie jaśniej wśród mroku — odcięte palce Andrzeja. Trzy żółte sztywne palce, w oliwie, z przylgniętym piaskiem. Szukała: gdzieś był czwarty — nie znalazła. Trzeba by lepiej poszukać...

— Gdzie byłaś?

A palce wiły się przed oczyma jak robaki. Sine paznokcie mdło lśniły jak martwe oko, pożółkła skóra zebrała się w zmarszczki a w nich czerniał brud od pracy. Pochowała je — tylko zapomniała gdzie. Aż ją głowa zaczęła boleć od tego, że nie mogła sobie przypomnieć.

— Gdzie byłaś?

— Marka ratowałam.

— Uciekł?

— Uciekł.

— A ojca zabili.

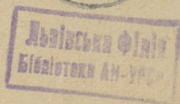
Więcej słów nie było.

Nikt już nie budził czarnej ciszy, która się wlewała do chałupiny przez okna.

Ciężkim, zimnym snem spała za chatą ziemia, a nad nią wysoko drgały gwiazdy, jak gdyby w niebieskim akwarium igrały złote rybki...

O świtaniu weszli do wsi kozacy...

31 III 1910 r.



ERRATA

<i>str.</i>	<i>wiersz</i>	<i>wydrukowano</i>	<i>powinno być</i>
78	10 z góry	jan	Jan
108	10 „	Słyszecie	Słyszycie
125	4 „	wyszedł	wszedł

— Ja.

Dziwnie. Przeżyła życie, a ono raptem wpadło w przepaść. Chociażby ślad zostawiło, choćby pamiątkę jakąś. Wszystko pochłonął mrok. Wszystko czarne. Nawet dzień dzisiejszy odsunął się daleko, tak daleko, że wydaje się starym, dawno zapomnianym snem. Czy dziś było co, czy nie było nic? Jedno tylko wy-

Е К Р А Т А

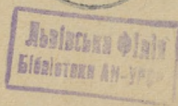
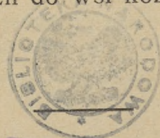
№	місяць	випуск	назва	автор
78	10	10	Лан	Лан
100	10	10	Сілезька	Сілезька
120	1	1	Везелі	Везелі

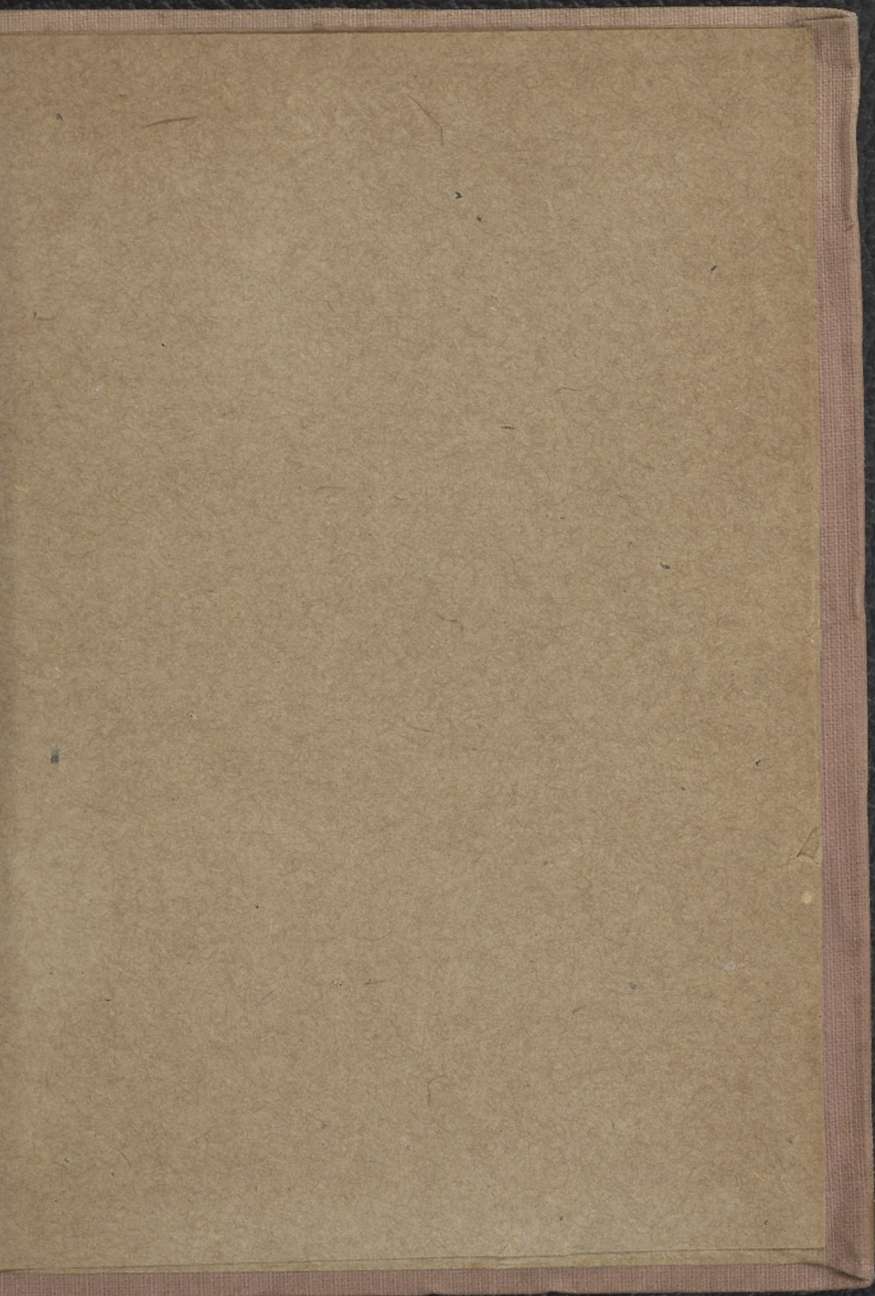
Nikt już nie budził czarnej ciszy, która się wlewała do chałupiny przez okna.

Ciężkim, zimnym snem spała za chatą ziemia, a nad nią wysoko drgały gwiazdy, jak gdyby w niebieskim akwarium igrały złote rybki...

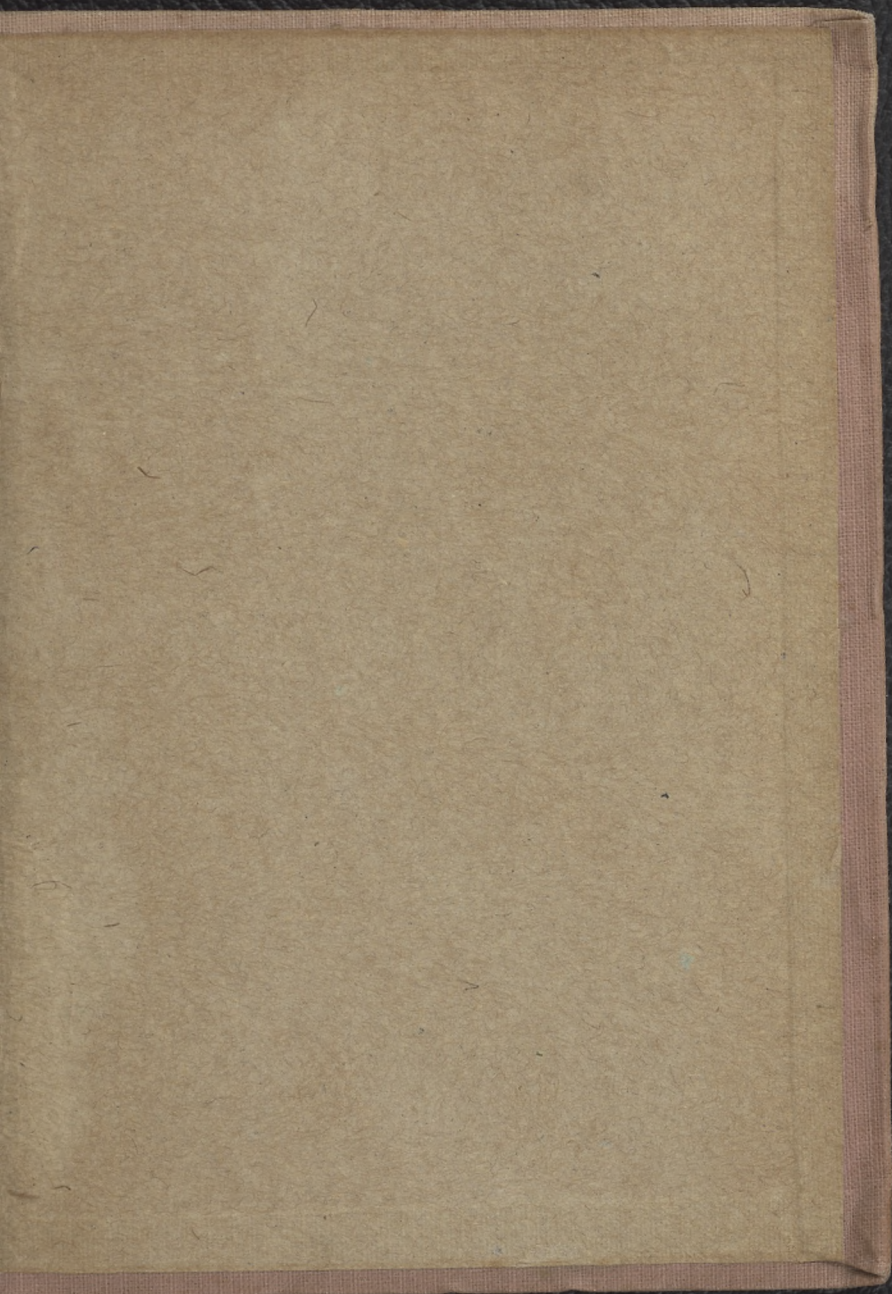
O świtanu weszli do wsi kozacy...

31 III 1910 r.





1942





300832

1941

Польского народа

М. М. Коцюбинський
FATA MORGANA

УКРДЕРЖНАЦМЕНВИДАВ

1941